ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 27 4. VII. 1936 r.



w numerze:

PRZYJACIELE

FOT. „PARAMOUNT"

KAROL RADEK O POLITYCE NIEMIECKIEJ

Czołowy publicysta sowiecki, Karol Radek, z którego opinją liczą się sowieckie sfery rządzące zamieszcza w półoficjalnych Izwestiach artykuł o stosunkach anglo - niemieckich, który poniżej zamieszczamy.

Od długich lat Rzesza Niemiecka nie przestawała szeptać czułych słówek pod adresem Wielkiej Brytanji. Przysięgała, że będzie tylko ją popierać. Te czułe wyznania znajdowały czasami przychylny oddźwięk u przywódców konserwatystów angielskich, nie dlatego żeby byli oni zachwyceni narodowym socjalizmem Rzeszy, ale dlatego, że odczuwali stale dziwną niechęć do Z. S. R. R. i spodziewali się zakończyć z Sowietami dzięki interwencji armji niemieckiej. Tem niemniej Anglja nigdy nie miała zaufania do niemieckich obietnic, nawet, kiedy ustępowała przed żądaniem Niemiec albo kiedy popierała Rzeszę. Niemcy opierali zbyt wiele na zapale, aby nie wydawało się to zbyt podejrzane.

Rząd Rzeszy nie udzielił jeszcze odpowiedzi na kwestjonarjusz brytyjski. W istocie, czy widzieliśmy kiedykolwiek, aby młoda panna z dobrego domu, której złożono oświadczyny miłosne, wymagała od pretendenta do swej ręki świadectwa lekarskiego, że nie jest on dotknięty chorobą weneryczną? Rząd Rzeszy wolał wysłać do Londynu swego Figara — von Ribbentropa, rzekomo z wizytą prywatną do Lorda Londonderry, aby się z nim porozumieć, jednak bez jakichkolwiek śladów w postaci umów, protokółów i t. p. papierów. Von Ribbentrop nie zawiódł. Tymczasem chodzą słuchy, że nie mógł on zetknąć się z min. Edenem, gdyż rząd brytyjski zażądał uprzedniej odpowiedzi na kwestjonarjusz. Nie należy jednak przyjmować tych nowin zbyt tragicznie. Rzeczywiście, jeżeli czułych obietnic i wyznań nie można czynić za czyjemś pośrednictwem, to nie dotyczy to rozmów dyplomatycznych. Ale na wszelki wypadek, aby nie było zbyt wielkich trudności, Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeszy wyzyskało usługi niejakiego Rudolfa Kirchera, który oświetla niemiecki punkt widzenia w dwóch umiarkowanych artykułach opublikowanych przez *Frankfurter Zeitung*.

...Nazistyczne Niemcy, które pragnęły tak gorąco porozumienia z Anglją, stają się dumne. Zwracają się one do Wielkiej Brytanji z następującą deklaracją: „Podpisaliście z nami układ morski, który nas interesował bardziej, niż was. Ale w tem, co dotyczy układu lotniczego, gdzie wy jesteście stroną zainteresowaną, my możemy poczekać. Nie pali się!

Nie chcemy podpisać umów, opartych na systemie zbiorowego bezpieczeństwa, dopóki nie ujrzymy zakończenia waszego konfliktu z Italją. Nie chcemy wypuścić z rąk atutu włoskiego, który mocno trzymamy w garści".

Ale jakie są jednocześnie pragnienia i żądania Niemiec? Wyjaśnia nam to pan Kircher, insynuując Baldwinowi idee narodowo-socjalistyczne: potrójne porozumienie między Anglją, Francją i Niemcami, dzięki któremu uzyskałoby się od Francji zerwanie jej sojuszów wschodnich, co oznaczałoby kapitulację Francji i rozwiązanie sobie rąk w Europie wschodniej.

Mówią, że w czasie swej oficjalnej wizyty londyńskiej — von Ribbentrop zaproponuje Wielkiej Brytanji układ dwustronny. Obecnie narodowy socjalizm, przemawiający ustami Kirchera, ma szerszy gest. Proponuje on Anglji: „Przyciągnijcie Francję, zgadzamy się. W razie potrzeby zresztą zaaprobujemy pakt czterech — z Włochami".

Gdy wszystkie te słowicze trele nie dały zamierzonych rezultatów, Niemcy szukają innych dróg dla podbicia Anglików. Jest zupełnie jasne dla wszystkich, że trudności jakie przeżywa Imperjum Brytyjskie są niczem w porównaniu z temi, które zaskakują co chwila rząd Trzeciej Rzeszy. Jeżeli Niemcy pozwalają sobie przemawiać tym tonem do Wielkiej Brytanji, to tłumaczy się to angielską polityką ustępstw na rzecz narodowego socjalizmu i autosugestją Londonderrych i Lothianów, którzy uważają za najstraszliwsze zwierzę kota i wskutek tego krępują się przed nazistami. Zbiera się jednak tylko to, co się posiało. Radzimy więc angielskim mężom stanu przeczytać uważnie artykuły Kirchera. Będą mieli przedsmak tego, czego można będzie spodziewać się od Rzeszy w wypadku, gdy inne trudności zaprzątną uwagę i wysiłek Imperjum Brytyjskiego, o ile Anglja w pełnem porozumieniu z innemi pokojowemi mocarstwami nie przypomni uprzednio imperjalistom niemieckim lat 1914 — 1918 kiedy to Niemcy były zbyt wielkie.



Józef Belon — I nagroda

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 27 4. VII. 1936

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

SZUKAĆ W SZTUCE DUSZY CZY ZADOWOLIĆ SIĘ FORMĄ?

Zaczniemy z bardzo daleka, poczem dopłyniemy do IPS-u.

Jednym z najmilszych sposobów zwiedzania pięknego kraju jest niewątpliwie jazda na ślepo, „w nieznane". Przez długi szereg lat praktykowałam po Włoszech ten rodzaj turystyki — i przyznać muszę, że prawie nigdy mnie nie zawiodło oczekiwanie — niespodzianki. Poczciwy mój Fiat 503 miał nieraz pozostawiony wybór kierunku w miejscu, gdzie krzyżowały się drogi, a jego właścicielka i szofer — (czytaj: niżej podpisana) — posłusznie słuchała kapryśnych decyzyj swej maszyny. Zawdzięczam temu systemowi niejedno zachwycające odkrycie.

Tak natrafiłam na mnóstwo rzeczy pięknych, w żadnym Baedekerze nienotowanych, albo notowanych maczkiem, jako niegodne widzenia. Prześliczne miasteczko Pienza pod Sieną, gdzie pewnego upalnego dnia lipcowego zajechałam zupełnie przypadkiem, objawione mi zostało właśnie dzięki specjalnemu „węchowi artystycznemu" mojej maszyny. Oczarowana — ja, nie maszyna — znalazłam się nagle na cudnym renesansowym placu, w centrum maleńkiego miasteczka, które, jak się dowiedziałam później, liczy sobie aż... 2800 mieszkańców. Wspaniała katedra z połowy wieku XV, pełna skarbów sztuki, rzeźby, malarstwa, złotnictwa. Imponujący zamek Piccolominich, stylowe piękne pałace municypjum i biskupstwa — wszystko z tej samej epoki. Skąd to wszystko? Poprostu wielki papież Pius II z rodu Piccolominich tu właśnie był się urodził — i rodzinne swoje miasteczko, jak to zwykle Włoch, nadewszystko ukochał. Więc zrobił z tej miniatury istny cud świata.

Ale Baedeckery piszą o tem conajwyżej w kilku wierszach nonparelu.

Podobną niespodzianką obdarowała mnie kiedyindziej dłuższa włóczęga po Umbrji. Między Assyżem a Spello — urocza zjawa: biały renesansowy pałacyk w najromantyczniejszym, jaki sobie można wyobrazić, cyprysowym parku. Kiedyindziej znów średniowieczne wieżyce i zamczyska, wogóle nigdzie w przewodnikach nieodnotowane. Albo znów jakiś mur graniczny, wzdłuż szosy, cały z niezwykłą rozrzutnością obrośnięty czarującemi polnemi kwiatami nieznanego mi rodzaju. I tak bez końca.

Kiedyś, podczas włóczęgi tym systemem po górzystej i dzikiej prowincji włoskiej Abruzzo, jednej z najbardziej charakterystycznych, pod względem folkloru i sztuki najbogatszych — a najmniej znanych — zawiodło mnie moje auto do jakiegoś cichego, na szczycie urwistej góry uczepionego miasteczka. Nagle w wąskiej uliczce mignęła ponętna wystawa sklepu jubilerskiego. Będąc szoferem nie przestaje się przecież być kobietą — zatrzymałam maszynę i weszłam. Wiedziałam z doświadczenia, na jakie cuda trafić można w takich na uboczu leżących, zapomnianych mieścinach.

Istotnie. Stary złotnik wywlókł z wielkiej szuflady cały skarbiec „gioie d'occasione" — czyli klejnotów, zostawionych u niego na sprzedaż. Były tam przeważnie cacka robione rękami dawnych artystów miejscowych, anonimowych wielkich artystów z przed stuleci. Olbrzymie złote kolczyki, splecione z wijących się węży, inne długie zwisające aż do szyi, zakończone na dole charakterystycznym złotym koszyczkiem, jeszcze inne — obręcze misternej roboty, wielkie, dzwoniące przy każdym ruchu głowy. Jakieś były dalej ciężkie wspaniałe sznury rżniętych ol-

brzymich ciemnowiśniowych korali, bogato oprawnych w złote listki, i ogromne pierścienie, nad których wykończeniem artysta trawić musiał długie miesiące. I niezliczone wreszcie — w tym kraju silnej, żarliwej wiary — medaljony i wisiorki o charakterze dewocyjnym, niezrównanej piękności roboty i naiwnej ekspresji.

Jeden z nich mnie zachwycił najbardziej — i za śmieszną cenę paruset lir dane mi było zabrać go ze sobą. Artysta wyrzeźbił w wielkim koralu postać świętego Krzysztofa, niosącego małego Jezusa na ręku. Święty trzyma Jezuska z nieco słoniowatą niezręcznością — jak to się najczęściej zdarza mężczyznom, gdy mają w rękach kwiaty, albo dziecko. Święty nietylko niebardzo umie trzymać to dzieciątko, ale jest też najwidoczniej swą odpowiedzialną rolą ogromnie onieśmielony, tak dalece, że z zawstydzeniem odwraca głowę w drugą stronę, nie ma wprost odwagi spojrzeć na swego maleńkiego pasażera. Jezus grzeczniutki i spokojny przytulił się ufnie



1.

do ramienia świętego — i tak sobie przyjaźnie trwają już jakieś lat conajmniej trzysta. Ku niezmiennemu rozrzewnieniu każdego, kto w tym czasie miał sposobność spojrzeć na autentyczne dzieło sztuki, stworzone w rozmodleniu, pokorze i pełnej nieświadomości przez cichego, ludowego artystę z miasteczka Atri w Abruzzach. Żeby koło świętego i dzieciątka nie było pusto i smutno, artysta otoczył koralową figurę po obu bokach złotemi listeczkami, zaś piękna, nieprawdopodobna jakaś złota roślinność wyrasta u stóp świętego. A że koral był nieco za krótki, i na nogi świętego nie starczył — przeto i długie buty do kolan święty nosi złote. Prześlicznie jest to wszystko wykonane, ale mistrzostwo techniki rzeźbiarskiej i złotniczej spostrzega się dopiero po chwili: z początku radują się oczy przedewszystkiem nieuchwytnemi czynnikami natury uczuciowej, które emanują z tego klejnotu.

Tak działa na widza — i tak działać powinno — prawdziwe dzieło sztuki. Równie ważna jest w niem dusza, jak forma. Kto wie nawet, czy nie ważniejsza. Nie chcę tu, broń Boże, propagować nieuctwa w sztuce. Ale zdaje się nie ulegać wątpliwości, że zobojętnienie „odbiorców" na sztukę w dobie dzisiejszej przypisać można w dużej mierze — właśnie bezduszności tej sztuki. Same zagadnienia formalne widzowi wzruszeń nie dostarczą.

Ten włoski klejnot, złożony z koralu, złota — i jakiejś cząstki duszy artysty — stał mi ciągle przed oczami, gdy zwiedzałam ostatnio w IPS-ie wystawę prac nadesłanych na konkurs rzeźby religijnej. Porównanie wypadało dla naszej sztuki współczesnej — wprost żałośnie.

Sam pomysł ogłoszenia konkursu na rzeźbę religijną do nowoczesnego wnętrza mieszkalnego uznać należy za bardzo szczęśliwy. Ohydne dewocjonalja „z masy" i innych anonimowych materjałów, wyrabiane dziesiątkami tysięcy fabrycznie — zwykle z wzorów nie polskich, a często i nie polskiemi rękami — urągają elementarnemu dobremu smakowi. A zapotrzebowanie na te rzeczy jest ogromne, i pole działania dla naszych artystów byłoby bardzo wdzięczne.

— Ba — byłoby... Gdyby w tej dziedzinie chcieli i umieli zdobyć się na jakąś twórczość. Gdyby zechcieli pamiętać, że jednak inaczej maluje się Madonnę, a inaczej głowę kapusty, inaczej w rzeźbie ująć wypada świętego Franciszka, a inaczej murzyńskiego boksera. Tego nasi artyści — sądząc z prac konkursowych — zrozumieć nie chcą. A raczej przypuszczalnie nie mogą. Nie mają w sobie widać ani zainteresowania dla tematów



2.

religijnych, ani możności wewnętrznych przejęcia się nimi, nie odczuwają poprostu tych wzruszeń, które kierowały prawdziwymi twórcami sztuki religijnej — czy będą się oni nazywali Fra Angelico, Wit Stwosz, czy nikomu z nazwiska nieznany włoski złotnik z Atri, — czy wreszcie do



3.

Wszystkie zdjęcia

E. Koch.

4) przedstawiająca prawdopodobnie świętego Franciszka z garnącemi się ku niemu dziećmi. Stylizacja tej postaci jest może nieco zbyt łatwa — ale sylweta spokojna, harmonijna w proporcjach, miłe pochylenie głowy świętego, wdzięczny ruch dzieci — wszystkie te szczegóły składają się na całość, która, nie będąc arcydziełem, łączy jednak w sobie pewne walory estetyczne i wzruszeniowe, bez czego sztuki religijnej wyobrazić sobie nie można.

■

Zdjęcia dzieł Szukalskiego w poprzednim numerze „Świata" wykonał specjalnie dla nas E. Koch.

dnia dzisiejszego stawiający przy drogach swoich wzruszających „świątków" nasi rodzimi wioskowi, anonimowi rzeźbiarze.

I spostrzega się, oglądając owych kilkadziesiąt rzeźb pseudo-religijnych w IPS-ie, że w żadnej niema tego drgnienia duszy, bez którego sztuka religijna staje się martwem powtarzaniem starych tematów. Są to tematy, które nie znoszą obojętności — a rzeźby wystawione w IPS-ie odznaczają się właśnie najdoskonalszą obojętnością, często wręcz lekceważeniem danego tematu. Wynikają z tego rzeczy groteskowe.

Większość artystów obrała sobie za temat świętego Krzysztofa z Jezusem na ręku. (Stąd ta moja reminiscencja — i stąd niebezpieczne dla plonu konkursowego porównanie).

Ale jak tępo, jakże często po chamsku potraktowali ci artyści swój temat! Święty jest tu w większości wypadków nieprzyjemnym pokraką, dźwigającym z wysiłkiem bezduszną kukłę.

W jednym wypadku (ilustr. 1) chłopisko bezsensownym gestem trzyma nad głową małego, sztywnego bębna, i zdaje się grozić: „Jak cię grzmotnę o ziemię!" W innem „dziele" (ilustr. 2) olbrzymi, ciężki drab ugina się pod ciężarem małej, obojętnej kukiełki która mu siedzi na ramieniu. Jeszcze inny — szybkobiegacz o budowie boksera ciężkiej wagi — sadzi olbrzymiemi krokami, a rozbrykane dzieciątko napewno zaraz zleci mu z ramienia (ilustr. 3). Pierwsza nagroda przyznana została pracy doświadczonego od wielu lat rzeźbiarza religijnego, Józefa Belowa, którego praca jednak nie wychodzi poza poprawność — duchową i formalną.

Nagrodzonych i odznaczonych było mnóstwo — niema jednak potrzeby wymieniać ich tutaj. Plony tego konkursu nie wzbudzą w szerokich masach zamiłowania do polskiej sztuki religijnej. Efekt może być niestety wręcz przeciwny.

W prawdziwie nowoczesnem wnętrzu trudno byłoby nawet te ciężkie bohomazy zastosować. Wyróżnia się wśród nich dodatnio smukła, gładka rzeźba (ilustr.



4.

„CIEŚNINY" NAD LEMANEM

Montreux, w czerwcu:

Żandarm... na dachu!

Mam pokój na piątem piętrze. Przedemną rozłożysty, zasiedziały, zamożny hotel Palace-Montreux. Swym wielkim blokiem usadowił się w centrum Montreux. Tu w jego salach odbywały się wspaniałe zabawy po święcie narcyzów, w czasie corsa kwiatowego, rozgrywek tenisowych puharu Davisa — tu białe wysportowane panny i biali młodzieńcy zapełniali salony wprost z kortów, napełniając cały „Palace" śmiechem, tańcem i beztroską!

Spoglądam nań z wyżyny piątego piętra mego trzeciorzędnego hoteliku (dobrzeby było, aby u nas więcej było takich trzeciorzędnych hotelików szwajcarskich... liczba pierwszorzędnych u nas bardzoby wówczas urosła) i oczy przecieram. Poważny, dostojny, grzeczny a nieustępliwy żandarm szwajcarski praży się na dachu.

Moja „hotelina" na zboczu górskiem usadowiła się wyżej, niż sam Montreux-Palace — mogę więc spoglądać „zgóry" na giganta i u swych stóp niemal mieć... kantonalnego żandarma!

A „Montreux - Palace" pyszni się! Sztandary międzynarodowe zdobią jego balkony i okna. Montreux-Palace — przekształcił się bowiem w miejsce obrad konferencji w sprawie cieśnin. Konferencji, która ma naprawić „krzywdę" Dardanelską.

Schodzę więc ku dyplomatycznemu sanktuarjum. Ledwie zbliżyłem się do głównego wejścia, wyrosła przedemną stanowcza pierś... żandarma szwajcarskiego.

Dokąd pan idzie — odezwała się pierś.

— Do Montreux-Palace, na konferencję!

Delegat?

— Dziennikarz.

Jaki?

— Bardzo wybitny, z samej Warszawy.

Karta wstępu?

— Jeszcze niema — idę wyrobić.

Pierś zamilkła, ale nie ustąpiła, natomiast grzecznym gestem wskazała inny kierunek.

Idąc tym szlakiem, po pertraktacjach z bladą panienką, po informacjach i wyjaśnieniach, zbrojny w czerwoną kartę wstępu, przebrnąłem cieśninę policyjną.

W hallu wyminąłem (dzięki czerwonemu biletowi) rafę dwuch żandarmów, na półpiętrze cywilny grzeczniś uśmiechem aprobował me lawirowanie, na piętrze dwaj panowie bardzo uważnie — ocenili moją garderobę, przyczem warszawski krój garnituru tak im zaimponował, że omal iż nie chcieli sprawdzić wartości mego „Leszczkowa".

Mimo wszystko jednak byłem w środku. W środku cieśnin! Zagadnienie to opanowało cały „Montreux - Palace".

W sali balowej można było widzieć plenum konferencji, w czytelni radziły komisje, w tearoom'ie usadowił się sekretarjat delegacji tureckiej. Delegacja turecka rozpoczęła konferencję wspaniałem, luksusowem przyjęciem — dwieście korków szampana podtrzymywało kanonadę cieśnin, wyszukane ciasta i ciastka oraz rogaliki, o których mówiono, że są to... półksiężyce do zgryzienia.

Piękne panie z delegacji tureckiej czyniły honory domu — tylko urodą różniąc się nieco od ultra - moderne i ultra - chic paryżanek.

Pomimo tego pokojowego i zdecydowanie towarzyskiego początku, obrady na temat cieśnin nie idą tak „płynnie" jak to przypuszczano. Wszyscy w zasadzie zgadzają się na tezy Turcji. Nikt zasadniczo nie neguje, że rekompensaty, przyznane Turcji wzamian za demilitaryzację cieśnin nie są dziś ani wystarczające, ani pewne, mimo to „krótkie spięcia" i starcia usadowiły się na porządku dziennym.

Już niemal na samym początku odżył dawny, stary antagonizm anglo - rosyjski w sprawie cieśnin. Litwinow — ten sam Litwinow, na temat którego żartowano, że na przyjęciu delegacji tureckiej ze specjalnym zapałem konsumował jeden z punktów „programu mênu", a mianowicie „les fraises à la Romanow" — ten sam bolszewicki delegat Sowietów, podjął tezę ongiś bronioną przez dyplomację carską.

Celem Litwinowa, jak to jasno i rzeczowo uzasadnił, jest uczynienie z Morza Czarnego — jeziora rosyjskiego, z tem jednak, aby siły morskie sowieckie miały pełną swobodę — wyjścia z tego „jeziora". Polityka Litwinowa zmierza więc, aby uzyskać odrębny regulamin cieśnin dla flot państw przybrzeżnych, a inny dla flot państw nieposiadających wybrzeży Morza Czarnego.

W akcji swej Litwinow spotkał się z pewnem poparciem Rumunji i Bułgarji. Natomiast delegat Japonji Sato ostro i kategorycznie sprzeciwił się temu poglądowi, dowodząc, że zakaz przepływu cieśnin musi być równolegle ustalony dla flot wpływających na Morze Czarne jak i dla wypływających! Ten japoński pogląd podtrzymał lord Stanhope w imieniu Anglji. Był on mniej ostry, niż delegat Japonji, ale równie stanowczy. Naogół jednak, czekając na obrady Genewy — konferencja cieśnin przewleka swą akcję, od takich odrodzeń są właśnie... komisje. Narazie najsłuszniejsza będzie definicja żartobliwa delegata Rumunji min. Titulescu: „Jak dotychczas — oświadczył on — na żadnej konferencji nie czułem się tak bardzo „na pełnem morzu" jak na tej przybrzeżnej konferencji cieśnin".

Axel.



Min. Titulescu

WACŁAW SIEROSZEWSKI

MAKSYM GORKIJ

Poznałem Gorkiego w Petersburgu równo czterdzieści lat temu. Były to czasy bardzo ciekawe. W czytelnictwie rosyjskiem dokonywał się przełom. Dzięki wielkiemu rozwojowi samorządowych „ziemskich“ bibljotek — liczono ich wówczas w całem państwie do 50.000 — książka weszła w „masy“, stała się „chlebem powszednim“ setek tysięcy czytelników. Popyt na powieści stał się ogromny; zupełnie przeciętne utwory sięgały najmniej 8—10 tysięcy egzemplarzy nakładu. Autorskie honorarja wzrosły odpowiednio.

W literaturze zaroiło się od świeżych talentów, przyciąganych wysokiemi zarobkami i widokami dalszej pracy. Jeszcze żyli i pisali starzy potentaci pióra Lew Tołstoj, Dostojewski, Szczedryn, lecz na czoło literatury wysuwała się już „Młoda Rosja“: Czechow, Korolenko, Andrejew, Pieszkow, Kuprin, Bunin, Mereżkowski, Arcybaszew, Garin, Sołłogub, Błok, i inni... Charakter beletrystyki pozostawał ten sam, wytknięty przez starych mistrzów i utrwalony przez krytykę rosyjską: Bielińskiego, Dobrolubowa, Pisarewa. Był to romans realistyczny w rozmaitych odmianach; ale zmieniła się tematyka, stosownie do zmienionych politycznych i społecznych warunków. „Kajający się szlachcic“ dawnych utworów znikł, na jego miejsce wystąpił „świadomy swej woli i zadań inteligent“ i obowiązkowe ofiarnictwo wypierane było coraz ostrzej „przez prawo do pełni życia i wyżycia się“ osobnika. Tołstoizm z jego „schłopieniem“ inteligencji ścierał się z „saninizmem“ (nazwa zaczerpnięta ze słynnej powieści Arcybaszewa „Sanin“). Walkę literacką potęgował jeszcze zaciekły bój polityczny między zwolennikami Michajłowskego, teoretyka socjalistów — rewolucjonistów i Plechanowa, głosiciela materjalizmu dziejowego. Zwolennicy tego ostatniego, rodzice dzisiejszego bolszewizmu, byli wówczas w nikłej mniejszości wśród inteligencji rosyjskiej; zwano ich pogardliwie „Marksięta“.

Nagle na teren tych zgiełkliwych walk, których głównym przedmiotem były zabiegi o zdobycie duszy tajemniczego sfinksa ludu rosyjskiego, zjawił się pisarz o niezaprzeczonym talencie, nieodrodne dziecko tegoż ludu, syn ubogich mieszczan niżno - nowogródzkich, Aleksy Pieszkow, używający pseudonimu „Gorki“. Przeszedł on ciężką szkołę w życiu, bywał na samem „dnie“, jako terminator tapicerski, szewc, piekarczyk, kuchta okrętowy, robotnik portowy, wreszcie włóczęga, żyjący z przygodnych zajęć polowych i miejskich...

Był samoukiem; wykształcenia szkolnego prawie nie otrzymał, gdyż uciekł z drugiej klasy szkoły ludowej. Nauki początkowo unikał i nienawidził; czytać książki zaczął dopiero jako młodzieniec. Mając 20 lat zetknął się w Kazaniu ze studentami i wstąpił do kółka samokształceniowego. Ale wytrzymał tam niedługo. Rzucił nauki, rzucił miasto, aby wrócić do życia „trampa“ — „bosiaka“. Przewędrował całe południe Rosji. W Odesie pracował przy ładowaniu okrętów i mieszkał w słynnych „pieczarach“ podmiejskich z najgorszemi mętami, pijakami i zbrodniarzami. Pierwszą swą nowelkę „Makar Czudra“ napisał, mając lat 24; drukowało ją pismo „Kaukaz“ w Tyflisie. W tem małem opowiadaniu było tyle barwy, siły i świeżości, taka wiała odeń bezpośredniość i szczerość, że odrazu zwrócono uwagę na młodego autora. Wrócił do Niżnego Nowgrodu i zaczął stale już drukować swoje obrazki w tamtejszem piśmie „Wołżskij Wiestkin“. Włodzimierz Korolenko, który w tem mieście wówczas mieszkał wziął pod swoją opiekę rokującego wielkie nadzieje młodzieńca. Przerabiał z nim każdy nieledwie jego nowy utwór, poznał go z techniką pisarską oraz... z ortografją. Widziałem pierwsze rękopisy Gorkiego u tegoż Korolenki, dosłownie roiły się od błędów, były upstrzone skreśleniami i poprawkami. Ale uczeń okazał się zdolniejszy od swego mistrza. Posiadał bogate, dosadne słownictwo ludowe, żywą niezmiernie wyobraźnię, olbrzymie wyczucie krajobrazu i bystrą, przenikliwą inteligencję, połączoną z prostotą i odwagą szczerości natur pierwotnych.

Kiedy go poznałem był już znanym i poszukiwanym pisarzem, atrakcją petersburskich salonów literackich. Nie olśniły go jednak; przeciwnie odnosił się do nich z pewną wstrzemięźliwą wyższością. Istotnie ci „engelgartowcy“ „tołstojowcy“, „chłopomani“, marzący o trudzie fizycznym, o pracy na roli, ale traktujący tę pracę jako „pokutę za winy przodków“ — wydawali mu się wprost śmieszni.

Przecież on to wszystko znał od dzieciństwa, jako rzecz zwykłą, powszednią, wcale nie świętą. Zresztą jako urodzony włóczęga nie lubił chłopów i nie krył się z tem. Nadewszystko cenił wolność... od wszelkich więzów zarówno kulturalnych, ekonomicznych jak i psychicznych... Bosiak, bezdomny włóczęga, nieposiadający nic i nieżądający od życia nic ponad kawałek chleba dla zasycenia głodu i uścisku kobiety dla nasycenia miłości, był jego ideałem. W jego opowiadaniach wszystko jest traktowane z pewną pogardą i sarkazmem. Jedyne uczucie tam cenione to przyjaźń, jak to jest we zwyczaju u trampów całego świata. Obrazy Gorkiego często zdradzają to samo myślowe podłoże, co znakomity film René Claire'a „Nasza jest wolność“, stworzony w parę dziesiątków lat później. Z równą obojętnością odnosił się w tym okresie Gorkij do sporów o „materjalizm dziejowy“ i o przodującą rolę w życiu fabrycznego proletarjatu; uważał robotników za „niewolników pieniądza“ i wyśmiewał się z ich walki klasowej. Tłum uważał za siłę bezmyślną, za żywioł — jak wodę, jak ogień, piorun, lub wicher. Jeszcze bardziej pogardliwie traktował teorję „pełni życia i wyżycia się“... On, który widział, a nawet brał udział w rozpasaniu pijackich orgij „bosiackich“, który miał we krwi tęsknotę wołżańskich „burłaków“ i rozbójniczych „uszkujników“ wszystkie te „saninowskie“ lub „sołłogubowskie“ włóczęgi po Rosji. Sam on nigdy nie udawał, nie pozował, był zawsze sobą, często brutalnym i niegrzecznym współbiesiadnikiem,

ale nigdy ustępliwym pochlebcą. Choć zarabia bardzo dużo, choć sława jego i poczytność wybiegały już poza granice Rosji, ubierał się bardzo skromnie, inaczej, niż otoczenie: w cienką bluzkę w kosoworotkę, w spodnie wpuszczone w buty z cholewami, nie dlatego, żeby się chciał wyróżniać, lecz dlatego, że tak było mu wygodniej. Dużo czytał, pilnie słuchał i obserwował, co się dookoła niego działo, ale nie przyłączał się do żadnego odłamu, do żadnego kierunku politycznego, czy literackiego... Szedł swoją własną drogą. Kochał Rosję, jej przyrodzone piękno i bogactwa, jej nieskończoną rozmaitość etniczną, klimatyczną i geograficzną... Nie dopuszczał możności jej rozbicia i rozdarcia. Stąd jego wrogi stosunek do niepodległościowych dążeń narodów ujarzmionych, jego niechęć do Polaków, których język przyrównywał do „wężowego syku" a charakter zwał „lisim". Zresztą każdą grzeczność uważał za fałsz. Taką samą niechęć czuł również do Niemców, Francuzów, Anglików, Włochów... Śpiewał razem z wołżańskimi burłakami — dziad jego ze strony matki był takim „burłakiem":

„Chytry Anglik wymyślił
maszynę...
Aby pomóc trudowi ludzkiemu
A my sobie hukniemy „dubinę"...

Najwyżej na świecie stawiał typ wielko-rusa, którego był nawet zewnętrznie doskonałym przedstawicielem. Przyznać jednak należy, że w swoim nihilizmie społecznym i kulturalnym nie dochodził nigdy tak daleko, jak drugi ówczesny pisarz, znakomity Andrejew, który głosił w jednym ze swoich dramatów („Car-Gołod"), że dla szczęścia ludzkości trzeba wszystko zniszczyć, aby „goły człowiek" na „gołej ziemi" mógł zacząć od nowa budować społeczność...

Realizm życiowy bronił Gorkiego od takich ostateczności i on to kazał mu w czasie rewolucji bolszewickiej zwalczać okrucieństwa i niszczycielstwo stronników swego starego, dawnego przyjaciela Lenina. Zczasem Gorkij podporządkował się jednak rządom bolszewickim, został komunistą i pracował w dziedzinie literatury dla komunizmu. Zjadliwa gruźlica zmuszała go do spędzania większej części roku na Capri, gdzie posiadał własną willę. Już w czasie rewolucji bolszewickiej był bogatym człowiekiem, rewolucja mu materjalnie nic nie dała. Książki swoje na długo przed wojną drukował w Berlinie, aby zachować sobie prawo autorskie na przekłady, gdyż Rosja nie miała wtedy konwencji literackiej.

Jedno lato na Capri spędził również przed wojną Żeromski i poznał tam Gorkiego oraz Andrejewa. W ostatnich latach swego życia Gorkij nie opuszczał już Rosji, której surowy klimat pokonał jego słaby organizm. Prochy jego w asyście najwyższych władz sowieckich, zamurowano w ścianie starożytnego Kremlu.

27 czerwca 1936 r.

ŚWIAT KSIĄŻKI

S. BĄDKOWSKA

NOWA „SIŁACZKA"

Tegoroczna nagroda literacka miasta Krakowa przyznana została Janowi Wiktorowi za powieść p. t. *„Orga na ugorze"* (Książnica Atlas 1936).

Warto zastanowić się nad charakterem dzieł wyróżnionych przez nasze ostatnie nagrody literackie. „Orka na ugorze" jest czwartą zkolei książką o tendencji społecznej i treści zaczerpniętej z życia najuboższych, która doczekała się nagrody. Zaczęło się od *„Grypy szalejącej w Naprawie"* Jalu Kurka, a potem przyszła kolej na *„Burzę nad brukiem"* i na *„Człowieka z bramy"* Rusinka. Fakt ten nie jest bez znaczenia. Skończyły się widocznie dla Polski czasy, gdy była pawiem narodów, a zaczęła się na dobre pora „rozdrapywania ran". W takim obrocie rzeczy tkwi być może głębszy sens. Wypowiada się instynkt samozachowawczy narodu w tem, że w okresie niewoli największe triumfy święciła „Trylogja", a w epoce wolności nie przestaliśmy się zachwycać Żeromskim i nagradzamy Jalu Kurka i Rusinka.

Rozdrapywanie ran wtedy jednak tylko jest usprawiedliwione, jeżeli następuje pod wpływem prawdziwej, głębokiej miłości i gorącej chęci uleczenia, nie zaś — jak to się zdarzyło już nieraz — pod wpływem porachunków osobistych i chęci szkalowania pewnych ludzi i idei. Humanitaryzm od demagogji w literaturze można odróżnić po szlachetnym dźwięku słowa, po pasji i patosie, jakim przemawia nie żółć lecz serce.

„Orka na ugorze" bynajmniej nie jest dziełem doskonałem, powiedzmy to odrazu. Jest w niej pod względem artystycznym dużo surowego, wiele przeciągnięć i niedociągnięć, są braki kompozycji i umiaru — a jednak bije z niej tyle siły, tyle gorącego przekonania, że akcja książki staje się głębokiem przeżyciem czytelnika. To bardzo wiele.

Tematem powieści jest wieś (tym razem znów wieś podhalańska). Temat olbrzymi, ledwie tknięty przez naszą literaturę, jest jak wielka bryła domagająca się traktowania monumentalnego. Autor walczy niezawsze szczęśliwie z materjałem, który rozsadza zamierzone ramy.

Środowisko wiejskie, przez tyle lat traktowane w literaturze naszej jako folklorystyczna dekoracja, zmienia się tu do niepoznania. Zbrodnia, nienawiść, obłęd, zabobon, choroba — szaleją jak żywioły. Tragedją powtarzającą się w coraz straszliwszych warjantach, jest walka na śmierć i życie między starem a młodem pokoleniem o kawałek chleba i kąt w izbie. Nędza jest najistotniejszą atmosferą tego okrutnego życia. Dorosłe dzieci wyrzucają starych rodziców na mróz, zdrowi rodzice to samo robią z dziećmi, o ile są słabe lub kalekie. Kto ma siłę w garści, ten bezlitośnie gnębi słabszego. Walka o byt przybiera tu najpierwotniejsze, najbardziej barbarzyńskie formy.

Postać, w którejześrodkowują się wszystkie złe moce takiego świata — to Biel. Fanatycznie przywiązany do roli, zrośnięty z nią poprzez pracę i głód, miota się w nienawiści, ponieważ został wyzuty z własnej chałupy i ziemi. Żonę wprzęgał do pługa, dzieci katował. Błąka się teraz po wsi jak upiór, siejący postrach, grożący rzuceniem złych uroków, podpalający nocą własny niegdyś

dom, paktujący z Bogiem po przydrożnych kapliczkach o zemstę nad ludźmi. W zbrodniczym tym nędzarzu jest jednak wielkość — coś z Boryny i coś z króla Lira. Postać ta przytłacza resztę typów i zdarzeń w powieści. Pomyślana jako symbol wszelkiego zła, tkwiącego w życiu ludu, zyskałaby wiele na mniej drobiazgowem, bardziej syntetycznem ujęciu.

Bardziej, niż straszliwy Biel, wzrusza czytelnika mały Alojz, uczeń szkoły powszechnej. Alojz ma ciężkie życie. Od świtu rąbie drzewo, nosi wodę, zastępując nieżyjącego ojca i chorą matkę. Potem biegnie do szkoły, choć trzeba do niej brnąć kilometrami po śniegu i wietrze.

.....Kawał drogi. Możeby nie iść — myśli Alojz. Pokusa trwała krótko. Żal mu się zrobiło. Godziny w szkole to dla niego źródło wciąż nowych niespodzianek, to jasna smuga opasująca szary dzień. Bez wahania rzucił się naprzód, jakby w topiel.

— Żebym się ino nie spóźnił!"

Alojz fanatycznie uwielbia nieszczęsną, sparaliżowaną matkę. Dla niej to naraża się podczas rozdawania śniadań na podejrzenie o kradzież, ponieważ przelewa do flaszeczki po atramencie trochę herbaty ze swego kubka, żeby ją zanieść chorej. Trudno zaś o coś bardziej wzruszającego jak historja białej bułki z dobroczynnego śniadania, tej bułki, na którą wymienił Alojz trzy kawałki chleba przyznane mu przez nauczycielkę, tylko poto, żeby białą tę bułkę, smakołyk nielada, zanieść matce mimo własnego srogiego głodu. Bułce tej nie było jednak sądzone pokrzepić siły chorej. Zjawia się bowiem dziadek, spuszcza lanie wnukowi za domniemaną kradzież, zabiera białą bułkę z rąk córki uszczęśliwionej miłością syna i sam potem ze smakiem słodką bułeczkę zjada.

Prócz niedoli ucznia naszej szkoły ludowej odsłania Jan Wiktor ponury los nauczycielki. W klasie, do której śpieszy Alojz, mieszka dobra wróżka - nauczycielka, kochająca dzieci. Posłuchajmy:

.....znała uczniów nietylko z imienia, nietylko z tego, jak się uczą, ale od wnętrza. Usiłowała kształtować ich dusze z gliny, która miała nieraz twardość kamienia, ubitego potężną siłą przesądów i wierzeń... Słuchając odpowiedzi chłopskich, podziwiała ścisłość oka, chwytającego z dokładnością wszelkie zjawiska przyrody, bogactwo spostrzeżeń, barwność i obrazowość wyrażeń, znających mowę ziemi i nieba, samodzielność zdobywaną na polu, na pastwisku. W czasie nauki tak często widziała nędzę graniczącą z głodem, bose nogi, zbite na kamieniach, przez długie dni lata aż do późnej jesieni uganiające się za krowami. Każda ich godzina zosobna, każdy strzęp ubrania, każde spojrzenie było targającą opowieścią".

Nikt nie pojmuje wysiłków ani roli tej nowej „siłaczki". Ludność wyszydza ją zato, że nie bije dzieci, a kierownik odpłaca dymisją z racji jakiegoś niezałatwionego papierka.

Literatura niewiele dotąd uczyniła dla zaznajomienia społeczeństwa z dolą nauczyciela. Od najdawniejszych czasów wolała zajmować się losami innych, efektowniejszych osób — rycerzy, żeglarzy, władców. Czasem decydowała się na pasterza lub rolnika. Inteligentów zaczęła uznawać dopiero niedawno. Nauczyciel zaś pozostał i tu ledwie zauważonym parjasem.

Karjera jego w powieści zaczęła się dzięki polityce, jak to z niejedną karjerą bywa. Za czasów „pracy organicznej" wystąpił nauczyciel w beletrystyce jako bojownik narodowy na odcinku oświaty. Poświęcenie dla ludu i hart ducha zdobyły go w tych czasach nadewszystko. Wyszedł przytem najaw szczególny tragizm tego zawodu — beznadziejność młodego życia, skazanego na samotną walkę z otaczającą ciemnotą i nędzą. Kobieta ta w tej roli była szczególnie „bezbronna i wzruszająca". Żadna nie wyszła żywa z walki. „Siłaczka" umarła na tyfus, bohaterka Jalu Kurka — na grypę. Obie zabiła nędza. Jak dotąd tragiczna śmierć w opuszczeniu była tradycyjnym udziałem nauczycielki ludowej w naszej powieści.

Dopiero u Jana Wiktora spotykamy kobietę, która zdołała przetrwać najokrutniejsze warunki i najcięższe momenty nauczycielskiej doli. Niezłamana fizycznie, choć szarpnięta duchowo będzie prowadziła nadal „orkę na ugorze". Weźmy to za dobry znak. Może praca nad oświatą ludu w Polsce przestaje wreszcie być ciężarem ponad siły.

Czy literatura wpływa na życie? Czy książka o niedoli dziecka i nauczyciela może zmienić coś w ich smutnym losie? Daleka i okólna jest droga, która wiedzie od wzruszenia czytelnika i emocjonalnego przeżycia pewnych zagadnień do naprawy stosunków i ustania krzywdy. Wszelki postęp jednak prowadzi przez sumienie ogółu. Jan Wiktor toruje tę drogę dzięki pełni wyrazu, z jaką przedstawił wstrząsający obraz wsi i szkoły polskiej. Dobrze się stało, że nagroda krakowska zwróciła uwagę społeczeństwa na tę książkę.

SŁOWNICZEK WYRAZÓW OBCYCH

Na reumatyka, który ma zapalenie płuc — mówimy krótko — pneumatyk.

Kiedy jest mowa o dobrym tonie, o towarzyskiem obyciu, słyszymy określenia: ponton i pompon. Ani jedno ani drugie nie jest trafne. Pompon — to członek straży pożarnej, obsługujący sikawkę, a ponton, czyli knajak, oznacza dowcipnego rybaka.

Iluzja — lekki przytyk do czyjejś konduity. Iluzje robi się cienkie i grube. Iluzjonizm — inaczej kinematografizm, manja na punkcie: czy jestem fotogeniczny.

Włodzimierz Łukasik

Do naszych Czytelników

Wszyscy nasi Czytelnicy, którzy do dnia 27.VI 36. nadesłali nam bon na bezpłatną książkę, mogą odebrać ją w Administracji naszego pisma od 6-ego do 12-go b. m. w godzinach 13 — 15. Czytelnikom zamiejscowym i tym, miejscowym, którzy nie chcieliby książki odbierać osobiście będzie wysłana po otrzymaniu 50 gr. w znaczkach pocztowych na koszt przesyłki.

POŁÓW PEREŁ



Wymiana listów

Senator Heiman - Jarecki do Min. Kwiatkowskiego.
dnia 25 czerwca 1936.

Na posiedzeniu Senatu w dniu 24 b.m., uznał Pan Minister za właściwe oświadczyć, że „w zeznaniach dochodu na urzędowych formularzach“, zgłaszam tyle, „co np. starszy radca ministerjalny“. Oświadczenie to musiało wywołać wrażenie, że ukrywam dochody i wpłacam do skarbu Państwa sumy zupełnie nieznaczne.

Stwierdzam, że przypadający odemnie *osobisty* podatek dochodowy wynosi rocznie ok. zł. 30000 i, że podatek ten zawsze wpłacałem i wpłacam bez żadnego zalegania. Nie mówię przytem o podatkach *przedsiębiorstwa*, którego jestem prezesem zarządu, przekraczających rocznie zł. 250.000, a wpłacanych również z całą *punktualnością*.

Posiada Pan Minister wszelkie możliwości sprawdzenia powyższych moich twierdzeń, *sprzecznych* z Jego oświadczeniem.

Nie wątpię, iż poleci Pan Minister dokonać natychmiast takiego sprawdzenia i w konsekwencji sprostuje swoje twierdzenie, wypowiedziane z trybuny Senatu. A nie wątpię dlatego, że nieoględne pozostawianie nad członkiem ciała prawodawczego niesłusznego podejrzenia, iż pozbawia skarb Państwa należnych dochodów, byłoby wprowadzeniem do obyczajów politycznych czynnika, którego ani Pan Minister, ani ja, ani żaden uczciwy człowiek nie chciałby w nich widzieć.

Ponieważ postawiony mi zarzut został sformułowany publicznie, podaje treść niniejszego pisma także do wiadomości publicznej — przez prasę.

Aleksander Heiman-Jarecki.
Senator R. P.

Min. Kwiatkowski do Senatora Heimana - Jareckiego.
dnia 26 czerwca 1936.

Na posiedzeniu Senatu w dn. 24 b.m. uznał Pan za stosowne zwrócić się do rządu z szeregiem zapytań, dotyczących polskiej polityki dewizowej, przyczem w „zapytaniach“ tych podniósł Pan zagadnienia, będące treścią prowadzonych przez rząd rozmów z wierzycielami zagranicznymi. Uznał Pan za właściwe poruszyć te sprawy właśnie wtedy, gdy wysłane zagranicę delegacje rządu polskiego rozmowy te przeprowadzają w dążeniu do jaknajlepszego zabezpieczenia w nowych warunkach obrotu dewizowego interesów polskiego życia gospodarczego i znalezienia najlepszych rozwiązań, umożliwiających kontynuowanie naszej dotychczasowej drogi dobrych stosunków gospodarczych i finansowych z zagranicą.

Poruszenie przez Pana w tych właśnie warunkach wspomnianych kwestyj z trybuny parlamentarnej było rzeczą wysoce niewłaściwą, tembardziej, że jako senator Rzeczypospolitej Polskiej i człowiek dobrze obznajmiony z polityką gospodarczą państwa, zdawał Pan sobie niewątpliwie sprawę z tego, że rząd w trakcie prowadzonych z zagranicą rozmów nie mógł odpowiedzieć Panu na stawiane pytania.

Te okoliczności mając na względzie, jak również obserwując prowadzoną w ostatnich czasach kampanję prasową na łamach organów grupy, do której i Pan Senator się zalicza, ja zkolei uznałem za właściwe przytoczyć pewne fakty, stawiające tę kampanję w należytem świetle, oraz podać do wiadomości zakomunikowane mi informacje, dotyczące pańskich zeznań podatkowych.

Wobec wyrażonego przez Pana Senatora sprostowania w czasie posiedzenia Senatu, niezależnie od listu Pana z dnia 25 b.m., poleciłem niezwłocznie, aby sprawa płaconych przez Pana podatków została sprawdzona przy uwzględnieniu wszystkich pańskich źródeł dochodowych.

Wyniki tych badań — skoro Pan Senator sobie życzy — podam do publicznej wiadomości, gdyż nie jest i nie było moim zamiarem, by stan faktyczny przedstawić niedostatecznie ściśle.

Treść niniejszego pisma podaję do wiadomości publicznej.

(—) **E. Kwiatkowski.**

W „Gońcu Warszawskim“ dn. 27 czerwca 1936 czytamy:

REWIZJA W ZWIĄZKU PRZEM. WŁÓKIENNICZEGO.

„Wczoraj nagle przeprowadzono rewizję skarbową w Związku Przemysłu Włókienniczego w Polsce, zmierzającą do ujawnienia, czy p. sen. Heiman - Jarecki, który jest prezesem tego związku nie pobiera pensji, której nie ujawnia. *Okazało się, że p. Heiman - Jarecki obowiązki prezesa tej organizacji pełni honorowo*“.

Zastrzyk optymizmu

W tygodniu ubiegłym dzięki Polskiemu Radjo cała Polska otrzymała potężny zastrzyk optymizmu: Radjo nadawało trzy koncerty Kiepury.

Na tle szarego, nędzarskiego bytowania Polaków — smętnych, zabidzonych, zrezygnowanych lub wściekłych — fenomen zwany Kiepurą jest czemś więcej niż znakomitym śpiewakiem.

Kiepura — to nietylko wspaniały dar głosu od natury, ale i uporczywa nad tym głosem praca, coraz wyżej wiodąca artystę.

Kiepura — to nietylko fantastyczny szczęściarz, który się w czepku rodził — ale i człowiek który „lubi cyfry“, jak sam mówi, człowiek, umiejący swojem szczęściem roztropnie administrować.

Kiepura — to nietylko chwytający za serce „chłopak ze Sosnowca", za którym szaleją tłumy — ale i kulturalny mecenas sztuki, ofiarowujący hojnym gestem już po raz drugi skarb swego głosu na Muzeum Narodowe w Krakowie.

Że istnieje taki Kiepura, że go tu czasem usłyszymy i zobaczymy — to jednak dla polaków otwarcie całkiem nowych horyzontów. Ten człowiek żyje w innej skali. On nam ukazuje jakieś nowe możliwości. Wyprowadza nas w szeroki świat.

Czy mu to przyszło łatwo? Zapytajmy go o to. Odpowiedź — i to szczera — brzmi: praca, praca, praca.

Wszechmocni i wszechwiedzący

Coraz aktualniejszą się staje konieczność jakiejś poważnej, zaopatrzonej w egzekutywę, rady artystycznej, której zadaniem byłoby kierowanie poczynaniami czynników administracyjnych, najczęściej niekompetentnych — a już z reguły pewnych siebie i autorytatywnych — w decyzjach z dziedziny sztuki.

Oto ukochanemu przez całą Polskę miastu Gdyni — sprawiono nareszcie herb. (Wiadomo — młoda szlachta zwykle jeszcze bez herbu się obchodzi). Więc na ów herb ogłoszono konkurs — i odpowiednia — a raczej bardzo nieodpowiednia komisja rozstrzygnęła o wyborze godła, które po wieki wieczne „zdobić" będzie nasze oczko w głowie:

Czegóż tam niema...

Orzeł legjonowy oczywiście — ale dla Gdyni mało jednego: są więc dwa orły. I generalski wężyk jest—także w dwuch egzemplarzach. A że i to nie wystarcza, więc dodano też i koronę. Najwyższe symbole, wszystkie razem — i w pokaźnej ilości. Wenn schon, denn schon... Co sobie będziemy żałować?

I powstał dziwoląg niesamowity. Ideowo i estetycznie. A wszystko to dlaczego? Poprostu dlatego, że w ju[ry] zasiadali: jeden wojewoda, jeden dyrektor departamentu, jeden komisarz rządu, jeden dyrektor archiwum i jeden dyrektor urzędu morskiego.

„A ilu artystów-plastyków" — zapytacie?

Ani jednego, ma się rozumieć! Pocóż nam artyści? My, urzędnicy administracyjni, potrafimy wszystko. Nawet ustroić ukochaną Gdynię brzydkim i bezsensownym herbem.

Tradycja

Kiedy współczesny włoch mówi z dumą o swej wspaniałej przeszłości historycznej, kiedy straganiarz rzymski najnaturalniej w świecie swego zasmarkanego syneczka zwie „Cezarem" albo „Tytusem" — wydaje nam się to trochę komiczne. A jednak... W obyczajach, w mowie potocznej uwydatnia się przecież najwymowniej nurt wewnętrzny historji, nurt który okresami całemi może się wydawać utajony — a przecież trwa, i w odpowiedniej chwili daje o sobie znać.

Dorożkarz rzymski do dnia dzisiejszego klnie: „Per Bacco!" — choć, oczywiście, najczęściej nawet nie wie, kogo tem imieniem wyzywa. A przechodzień włoski do dnia dzisiejszego odwiedza z konieczności pewne budyneczki uliczne użyteczności publicznej — i nazywa je... „vespasiano". Imieniem rzymskiego cesarza, który przed blisko dwudziestu wiekami pierwszy kazał je na ulicach Rzymu ustawić, i pierwszy... ciągnął z nich zyski w postaci podatków.

Tak, tak. Wzniosłe czasami tradycje przejawiają się zabawnemi rzeczami — a imiona władców przylegają do nieoczekiwanych dzieł architektury.



Ulgi czy gnębienie?

Spostrzeżono — zupełnie już po niewczasie, wprost po trzecim dzwonku alarmowym, że Polska jest najkompletniej zdemotoryzowana. Zaczęto wobec tego kokietować właścicieli samochodów... ostrożnie, obietnicami. „Może" będzie tańsza benzyna — (czekaj tatka latka). „Są" już — na papierze — cyrkularze o tem, aby urzędy skarbowe nie uważały właścicieli aut odrazu za kryminalnych krezusów. No i istnieją jeszcze zapowiedzi, że kto teraz kupi auto, temu cena maszyny odliczona będzie od dochodu z roku bieżącego — i podatek odpowiednio się zmniejszy. (Automobiliści narzekają zresztą, że jakoby rozporządzenie wykonawcze na ten temat jeszcze się nie ukazało, i ulga jest narazie raczej teoretyczna, niż praktyczna).

Natomiast ściśle praktyczna jest nowa dokuczliwość, o której pisze organ Polskiego Touring Klubu, „Touring". Donosi on mianowicie, że od 1 kwietnia r. b. cofnięto właścicielom samochodów polskiej konstrukcji pewne ulgi, które dotychczas stosowano wobec nich przy opłacie funduszu drogowego. Bez zapowiedzi. Bez uzasadnień. Ot, tak sobie: z dziś na jutro — odebrano ludziom pewne prawa, które nabyli — dosłownie, bo za pieniądze — kupując samochód polski, zamiast zagranicznego.

Tak się popiera dwie rzeczy: motoryzację kraju oraz przemysł krajowy, dający zatrudnienie polskiemu robotnikowi.

Popularność

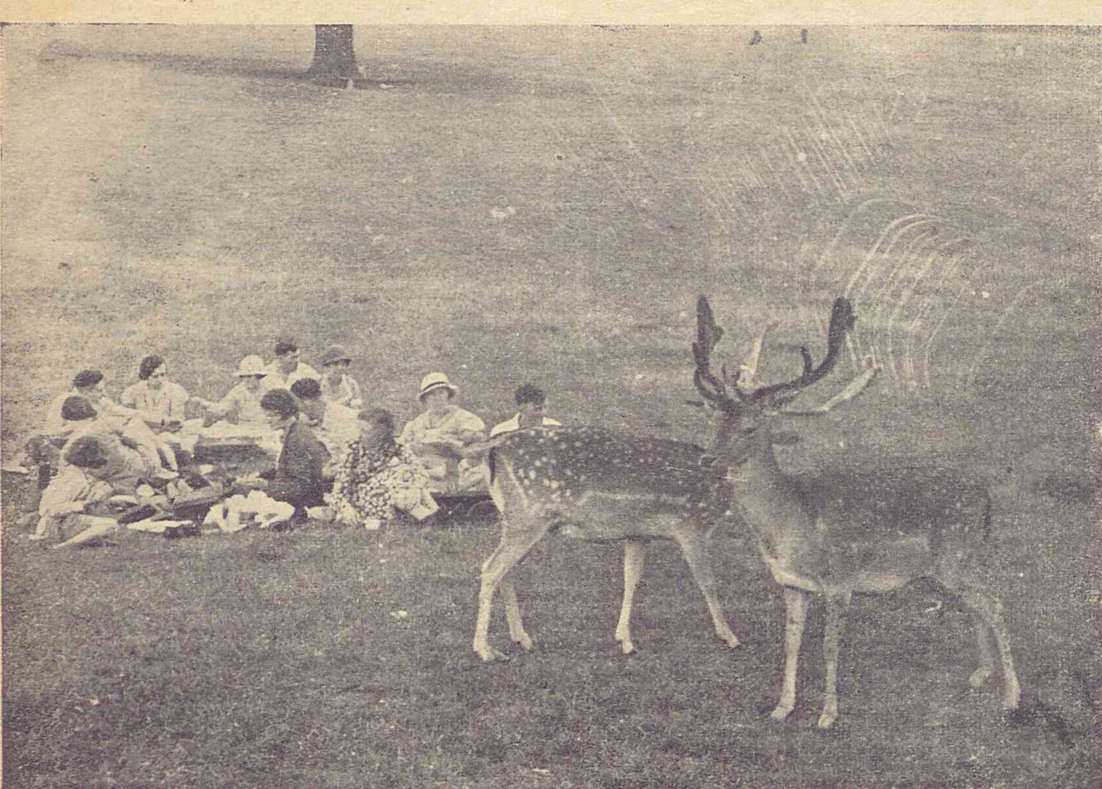
Podczas międzynarodowych konkursów hippicznych w Łazienkach usłyszeliśmy jak młoda dama mówiła do swego towarzysza na widok świetnego, niezawodnego konia, który wyróżniał się spokojem i pewnością: „Patrz, to już nie koń — to poprostu P.K.O.".

„No chyba: PEWNOŚĆ i ZAUFANIE" — odpowiedział jej towarzysz.

Jakże głęboko to określenie wryło się w świadomość wszystkich warstw społecznych w Polsce...

Uparty nurek.

ANGLICY LUBIĄ ZWIERZĘTA



Ulubione miejsce niedzielnych wycieczek mieszkańców Londynu, to Bushy Park, koło Hampton Court. Sarny i jelenie są tam tak obłaskawione, że przychodzą do gości jeść z ręki.



Gdzież odbywa się ta idylla? Pewno na „głuchej wsi" angielskiej? Gdzietam! W centrum Londynu, w Green Park, o 5 minut pieszo od Piccadilly Circus, zapomnieć można o hałasie stolicy i... o Bożym świecie, w słodkiem sam-na-sam na łonie przyrody. Nikt nie broni w parkach Londynu chodzić po trawie, ani na niej wypoczywać, leżąc. A stada pasących się owiec dodają jeszcze sielskości tej idylli.



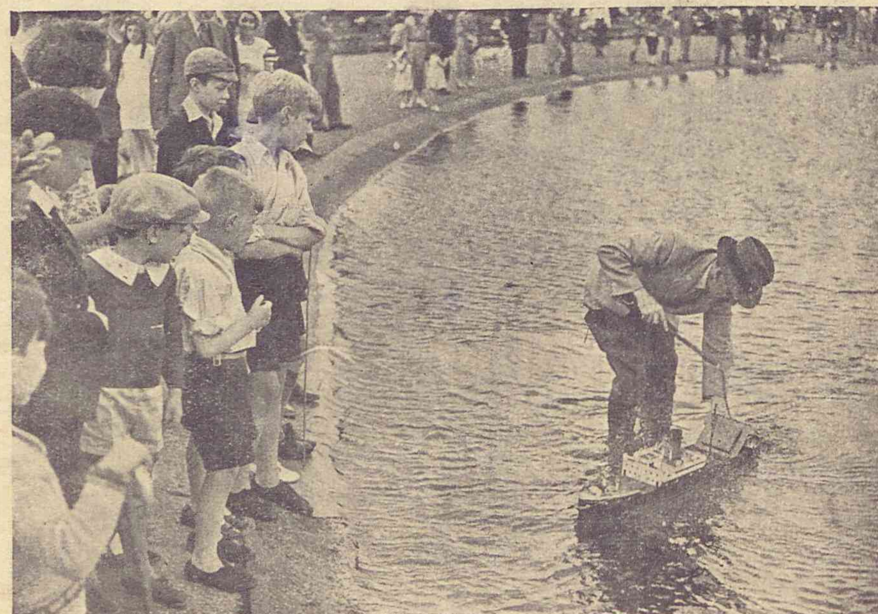
Whipsnade — to Zoo londyńskie, położone za miastem. Raj zwierząt, które w nim panują wszechwładnie. Ludziom nie wolno drażnić ich pod groźą więzienia. Ale Anglik nigdy zwierzęcia nie krzywdzi — to też stworzenia wszelkich gatunków są tu pełne zaufania do ludzi.



Hyde Park w Londynie ma swych stałych bywalców, którzy przyjaźnią się z mieszkającemi tam ptakami, kaczkami, mewami, a zwłaszcza gołębiami. Na widok znajomej postaci ptactwo zlatuje się i następują czułe powitania — jak na zdjęciu powyżej.



Niewinny flirt gości z ptakami w londyńskiem Zoo w Whipsnade, gdzie wszystkie zwierzęta są na swobodzie — i gdzie, jak widzimy, przyjaźń między człowiekiem a zwierzęciem nie jest tylko czczem słowem.



W parkach angielskich bawią się nietylko dzieci, ale i starzy. Poważny jegomość zbudował właśnie okręt i „spuszcza go na fale" — na stawie w Hyde Parku. Nałożył specjalnie długie buty gumowe i wszedł do wody, aby holować swój statek. Dzieciarnia zazdrośnie śledzi przebieg tej operacji.



Południowa przerwa w biurach Londynu. Młodzi praktykanci biurowi z City wybiegli na ulicę, odetchnąć świeżem powietrzem. Ulubionem miejscem ich wytchnienia są wybrzeża Tamizy, koło Towerbridge, gdzie, zajadając swe sandwicze na drugie śniadanie, dzielą się przykładnie z gołębiami, które zlatują się chmarami o tej porze, pewne, że i ich nie ominie lunch.

KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta", której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.

Już wszystkie wspólniczki są zebrane: Maryna Sobieniewicz, Baśka Wolejowa, Wanda Kozieradzka, Marta Tarasowiczówna i ta mała (protegowana stryja) Zosia Przetakiewiczówna.

Posiedzenie rozpoczęte.

Maryna Sobieniewicz referuje sprawę gospodarki świetlnej. Mówi głosem niskim, męskim, zdaniami rwanemi, krótkiemi. Umacnia swoje powiedzenia zdecydowanemi gestami dużych rąk, pochylając barczystą, dragonowatą postać nad sprawozdawczym arkuszem (ta jest tak brzydka, że napewno daje sobie radę na świecie bez mężczyzny).

W jej referacie urządzenie sklepu z rybami przy ulicy Nowy Świat zajmuje dominującą rubrykę. Sztuczna chłodnia: oświetlenie marmurowego basenu na karpie: niklowe siatki na mrożoną rybę i szklane przegrody na wędzoną dały firmie 4 tysiące złotych czystego dochodu oprócz ogólnego zachwytu, uznania czynników miarodajnych, wdzięczności właścicieli. Punctum!

Zarządzająca Marta Tarasowiczówna do tych „ogólnych pochwał" dołącza i swoje trzy grosze, uśmiechając się do tej dziewczyny, której brzydka, rozedrgana twarz przepojona jest radością i zadowoleniem z osiągniętych rezultatów.

Teraz mówi zkolei Wanda Kozieradzka. Ta ma już pod czterdziestkę i na mahoń maluje włosy. Ubrana jest pomysłowo, obuta wygodnie. Pozatem zrównoważona życiowo i spokojna. Mówi dowcipnie i barwnie. Nieraz złośliwie przymruża oczy (które niejedno widziały).

Jeden z największych sklepów branży kolonjalnej otwiera się w tych dniach po całkowitej przez nią — dokonanej rekonstrukcji. Wanda kazała wybić jedną ścianę i drugą, podtrzymując sklepienie dwoma kubistycznemi filarami. Sklep wskutek tego zyskał w perspektywie. — Umeblowanie dostosowała do całości architektonicznej. Nad półkami z towarem „machnęła" witraże treści orjentalistycznej (zbiory herbaty, bananów, pomarańczy).

Właściciel owego sklepu kolonjalnego jęczał długo pod uderzeniami coraz nowych kosztorysów, które wyrastały z dnia na dzień, jak grzyby po deszczu, odbiegając daleko od zakreślonego pierwowzoru. Ale w rezultacie całość wypadła reklamowo! Wanda gwarantuje, że wszyscy mężczyźni z całej Polski zlatywać się będą, aby oglądać te witrażowe murzynki, niosące kosze podzwrotnikowych owoców! Oczy im będą z orbit wychodzić do ich lśniącej czarnej nagości, do tych wyzywająco sterczących piersi, do tych ledwo osłoniętych bioder. Tak zapatrzeni kupować będą „kawiorek", „sardynki", „konjaczek Martel'a" i inne smakołyki, na które ślinka im będzie lecieć i od których brzuszek będzie im rósł!

Wanda Kozieradzka gwarantuje, że w tym sklepie handel będzie szedł! (Tej Wandzie mężczyźni musieli gorącego sadła za skórę zalać! Z dwoma się już rozwiodła, wyszumiała, a teraz ostentacyjnie wygłasza zasadę „gdzie chłop z woza — koniom lżej")

Marta Tarasowiczówna stawia surowe zarzuty Wandzie Kozieradzkiej za tak niedokładne sporządzenie pierwotnego kosztorysu. Zmiany złe robią wrażenie i podkopują zaufanie do firmy Busiw. Na poparcie tego Marta Tarasowiczówna może przedstawić szereg przykrych listów, które podsuwa jej w tej chwili panna Zosia Przetakiewiczówna.

Baśka Wolejowa niewiele ma do powiedzenia. (Jest mała, biało - różowa i zaaferowana). Ona nie ma zmysłu organizacyjnego, ani pretensyj artystycznych. Jedną nogą jest w domu, kiedy zdaje relację z wykonanych przez siebie prac (chodzi o projekty tych manekinów z papieru maché). Ona ma wątpliwości czy praca jej jest zrobiona dobrze wobec tego, że Maciek (synek) jej dużo czasu zabiera i od roboty ją odrywa. Mówiąc szczerze... ona zapewne tylko do lipca jeszcze popracuje, aby dopomóc Julkowi (mężowi). Bo potem... już zarabiać nie będzie potrzebowała, gdyż Julkowi (mężowi) proponują dobrze płatne miejsce w lecznicy.

W tej chwili Maryna Sobieniewicz ironicznie się uśmiecha, a Wanda Kozieradzka wtrąca jedno i drugie zdanie o bezwartowości pracy „dla celów utylitarnych".

Na zakończenie Marta Tarasowiczówna ujmuje konkretnie całość jej przemówienia, dochodząc do wniosku, że należy w jaknajszybszym czasie wysłać zagranicę, na koszt firmy Busiw, najzdolniejszą z pracowniczek, aby ją wyspecjalizować w robocie tych manekinów z papieru maché! Nie można przecież zostać bez specjalistki z chwilą, kiedy Baśka na nich gwizdnie.

Projekt poddany jest pod głosowanie i jednogłośnie zaaprobowany.

Teraz kwestje budżetowe w krótkiem przemówieniu skreśli panna Zosia Przetakiewiczówna, szczebiocząc miłym głosikiem o kredytach, opłaconych podatkach, zrobionych inwestycjach i tym podobnych rzeczach. Panna Zosia przedstawia bilans.

Na zakończenie Marta Tarasowiczówna cieszy

się, reasumując w jedną całość dzisiejsze artystyczne i finansowe sprawozdania.

Czego one dowodzą? — Dowodzą tego, że kryzys to mazgajstwo! Tak! Oto „Busiw" daje niezależność materjalną nietylko czterem wspólniczkom, ale daje pozatem pracę 60-ciu ludziom! Nasze wyroby całkowicie wykonane z krajowego surowca pracą rąk robotnika polskiego!

Brawo!

W kwadrans potem przychodzą mężczyźni.

Narzeczony po p. Zosię Przetakiewiczównę. Mąż po Baśkę Wolejową. Lipowski po Martę. Ci panowie muszą wysłuchać jeszcze ostatnich rozporządzeń p. Tarasowiczówny. Są to już tylko drobiazgi. Jakieś ogłoszenie (potrzebna jest rutynowana malarka do malowania lalek z papieru maché). Jakiś katalog „Busiw'u" (Wando, proszę cię, zajmij się stroną ilustracyjną katalogu). Jakiś znak ochronny firmy, który trzeba ustalić nareszcie.

Panowie siedzą z boku na jesionowych fotelach, wysłanych popielatem suknem, i przyglądają się paniom.

Narzeczony p. Zosi jest smarkacz. Wszystkiem jest zdumiony. Wszystko mu imponuje! (Ten z chęcią będzie patrzał na pieniądze przez żonę zarobione).

Mąż Baśki dzisiejsze posiedzenie nazywa pogardliwie „sejmikiem kobiecym"! Wogóle ma on już dosyć tej żoninej pracy i czeka z upragnieniem tej nowej posady w lecznicy, dzięki której będzie mógł Baśkę stąd wyrwać.

Lipowski rozgląda się wokoło. Czyta napisy na jakichś beczkach, stojących z boku (okazuje się, że są w nich farby w proszku i jakaś „bejca"). Potem przerzuca leżące na stoliku sprawozdanie z ostatniego konkursu wystaw sklepowych. Czyta w tem sprawozdaniu, że „Busiw" został odznaczony za dekoracje 58-iu wystaw sklepowych, które „wpadały łatwo w oko, zatrzymywały przechodniów i budziły powszechne zainteresowanie!" Czyta w tem sprawozdaniu, że okna wystawowe, urządzone przez tę firmę były dalekie od dawnej banalności, chaotyczności i systemu bibułkowo-pineskowego, natomiast posiadały wartość dobrego smaku i wykazały znajomość psychologji tłumu.

On cieszy się z tego, co przeczytał i patrzy na Martę. Na jej miłą, kobiecą twarz i na bazie wierzbowe, stojące w wazonie na jej biurku...

„Kobieta"...

On chce widzieć w niej przedewszystkiem kobietę. Ale nie zgodzi się nigdy ze zdaniem D-ra Woleja, który szepce mu do ucha ironiczne uwagi, że praca psuje kobiety, odbiera je domowi, przeszkadza mężowi...

Głupstwa! To wszystko są banalne głupstwa — praca odciąga kobietę od myślenia o fatałaszkach i romansach. Praca kobietę podnosi i rozszerza jej horyzonty myślowe!

Lipowski zachwyca się talentem panny Marteczki. Jej gustem w sposobie urządzenia tego biurowego lokalu. Jej radością z dania pracy tylu ludziom. Tylko dobroć nadaje prawdziwy wdzięk twarzy kobiecej. Ten „Busiw" to jest placówka artystyczna i społeczna, i Lipowski dziwi się doktorowi Wolejowi...

Dr. Wolej uśmiecha się z wyrozumiałością.

Hm... niech Lipowski spróbuje ożenić się z panną Tarasowiczówną, a inaczej będzie mówił!

— „Drogi panie... Maciek (synek) wczoraj krzyczał przez dobry kwadrans, bo matka spóźniła się z karmieniem! Szanowny panie... Po blacie fortepianu u nas palcem można pisać — bo żona nie ma czasu dojrzeć służącej!"

Lipowski broni pani doktorowej — tej uroczej mamusi, która ma wypieki na twarzy i co chwila patrzy na zegarek...

Wychodzą wszyscy razem.

Jest tak ciepło, że można już śmiało palta pod szyją nie zapinać. Na ulicy jest sucho. Tuż przy trotuarze czeka maszyna Lipowskiego. Jego sześciocylindrowy Buick, kupiony przez niego w etablissement Loiseau na Champs Elysées i sprowadzony przez niego w tych dniach do Warszawy.

Białe światło latarni jasno oświetla szary zamsz siedzenia. Kolorowe światło reklam przegląda się w lakierowanych powierzchniach samochodu.

Pękają duże lepkie pąki na czarnych gałęziach kasztana, co stoi po lewej stronie na skraju trotuaru.

Doktór pyta o cenę tego wozu. Ogląda maszynę z przodu i z tyłu.

Lipowski otwiera drzwiczki. Podwiezie doktorostwa do domu, aby Maciek nie czekał długo na mamę. Marta niech siądzie przy nim. Patrzy ona na silne muskularne jego ręce, zaciśnięte na kierownicy.

Gdyby on się z nią... ożenił — wiózłby ją do jakiegoś nieznanego domu... Do jakiegoś maleństwa, leżącego w białem łóżku z niklami...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZMIERZCH GANGSTERÓW

Przed paru tygodniami Alvin Karpis, „wróg publiczny Nr. 1", został ujęty bez jednego wystrzału w Nowym Orleanie. „Był tak wystraszony, że nie mógł wymówić słowa", opowiada J. Edgar Hoover, który kierował akcją, „jego ręce i nogi drżały".

Kilka dni później wyłowiono w Toledo Harry Campbella, adjutanta Karpisa. Bandyta miał w kieszeni naładowany rewolwer, ale nie miał odwagi go użyć. Gdy Bill Mahan, *kidnaper* słynny przez porwanie małego Weyerhaeusera, został otoczony w San-Francisco, wyszło najaw, że w ostatnich dniach był tak nerwowy, że nic nie jadł.

Lucky Luciano, *racketeer* prostytucji, zemdlał w chwili, gdy zabierano go do więzienia. Następca Al Capone'a, Johnny Torrio, zwany *Terrible,* został aresztowany na poczcie w White Plains w wilję wyjazdu do Italji.

Coś zmieniło się w królestwie gangsterów! Ci bandyci, przed którymi wszyscy drżeli, nie śmią strzelać a nawet mówić! Ci nielitościwi racketeerzy omdlewają jak kobiety albo szukają ucieczki!

Nowy „klimat"

W istocie coś się zmieniło. Niema już „wrogów publicznych", dumnych z tego „tytułu". Można postawić słowo „koniec" pod jednym wielkim rozdziałem życia amerykańskiego.

Z 41 wielkich przestępców, poszukiwanych przez biura śledcze, 8-ciu zostało zabitych przez agentów, 4-ch padło pod kulami „konkurencji", 4-ch zginęło na elektrycznem krześle, jeden popełnił samobójstwo w więzieniu, jeden czeka na egzekucję, 11-u przebywa w Alcatraz względnie innych więzieniach karnych.

Ta porażka armji przestępczej jest wynikiem zmiany „klimatu". W ciągu długich lat gangster amerykański był swojego rodzaju bohaterem, wyniesionym na wyżyny przez niewysychające źródło „bootleging'u". Pisano o gangsterach na łamach dzienników, apoteozowano ich przygody i filmowano je. Cały kraj interesował się tem, co robi Al Capone czy Dillinger.

Edgar Hoover

Człowiek, który przywrócił prawo

Gangsterzy wzięli na serjo swą legendę: żyli w pałacach, podróżowali samolotami lub pociągami prywatnemi, uczęszczali do najelegantszych lokali i klubów.

Zmierzch gangsteryzmu rozpoczął się z chwilą zniesienia prohibicji. Gangsterzy musieli przerzucić się na wymuszanie i szantaże z bronią w ręku. Obrzydliwy mord na synku Lindbergh'a zmusił Kongres do uchwalenia federalnego prawa przeciw kidnaperstwu. Prezydent Roosevelt, popierany przez całą opinję publiczną, stworzył federalne biuro śledcze i postawił na czele nowoutworzonej placówki młodego człowieka, który znalazł się na wysokości zadania. Był to: J. Edgar Hoover.

Inny człowiek poparł wydatnie i dopomógł Hooverowi w jego próbie przywrócenia porządku: Will Hays, władca kinematografji amerykańskiej. Hays natchnął filmy gangsterskie nową tendencją, tworząc bohaterami wszystkich awantur i przygód agentów służby śledczej. Obecnie młodzi chłopcy nie śnią już o karjerze Dillingera, podziwiają oni agentów, których kino przedstawia w pełni chwały i bohaterstwa.

W szponach strachu

Parę lat temu gangsterzy usiłowali wydawać pieniądze w sposób najbardziej ostentacyjny. Ale od pewnego czasu nie śmią nawet dać poznać, że je mają. Karpisowi udawało się przez dłuższy czas wymykać policji, ale był zmuszony do ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce, gnębiony i biedny mimo wszystkich swych ukrytych skarbów.

Niektórzy gangsterzy uciekali się do chirurgji plastycznej dla zmiany rysów twarzy i zatarcia linij daktyloskopijnych. Kilku członków bandy Karpis - Barkar kazało wyrwać sobie ciało z końców palców. Żyjąc ustawicznie w trwodze, bandyci szukają środków podniecających i narkotyków, aby się uspokoić.

Johnny Torrio, nauczyciel i później następca Al Capone'a zdobył na bootlegingu 10 miljonów dolarów. Chciał się usunąć, ale jego „współpracownicy" nie pozwolili mu na to i zmusili do wykonywania swego „zawodu" aż do momentu aresztowania.

Każdy prawie z wielkich bandytów marzy o spokojnej, bogatej starości. Al Capone śnił o wycofaniu się z racketeengu i o spokojnem życiu rolnika. Luciano grał dobrego obywatela—konserwatystę. Schultz chciał wycofać się z awantur, gdy zabili go właśni towarzysze.

Bandyci często zabijają tych, którzy mogą być ujęci w sieć policyjną. Wolą zabić swego z obawy aby nie „sypnął".

Wilki między sobą

W ten sposób Verne Niller, jeden z organizatorów masakry w Kansas City, ścigany przez agentów federalnych, został znaleziony martwy na ulicy z głową zniekształconą uderzeniami młota.

Dr. Joseph Moran z Chicago, który zmieniał układ linij skóry na palcach wszystkich członków bandy Karpis-Barker, został utopiony w jeziorze Erie. Jerzy Ziegler, organizator porwania Bremera, podążył w jego ślady.

Cisza! To jest najwyższe pra-

wo każdego „ganga". Ziegler nie umiał milczeć, jak wymagał tego jego „patron" Karpis — został sprzątnięty. „Mama Barker" zabiła go z karabinu maszynowego, aby zginąć sama parę tygodni później, rozniesiona kulami na brzegu jeziora Weir na Florydzie, gdzie schroniła się przed agentami federalnymi.

Tragiczne przeznaczenie

Oto opis ostatnich dni „Baby Face" (twarzy dziecka) Nelsona, nielitościwego mordercy, który wzbudzał strach nawet w swym szefie, Dillingerze. Zeznania te zostały złożone przez wdowę po bandycie agentom policji:

„Z biegiem czasu stawał się zupełnie zrozpaczony. Budził się cały w potach w połowie nocy i mówił mi: „Boję się. Jedźmy stąd!" Pakowaliśmy się natychmiast, wskakiwaliśmy do auta i jechaliśmy setki kilometrów w nieznane".

Ale Baby Face nie uniknął swego przeznaczenia. Agenci ścigali go do końca. W Chicago wreszcie dopadli go. Dostał 17 kul.

Straszna śmierć Floyd'a

Edgar Hoover zapewnia, że bandyci mają paniczny wprost strach przed śmiercią. Historja „Pretty Boy'a" Floyda potwierdza to w zupełności. Ten zabójca zorganizował morderstwo trzech agentów policji i sierżanta w Kansas City i miał na sumieniu z tuzin ofiar. Tem niemniej nie chciał, aby jego syn znał „zawód" ojca. Zakończył swoje występy ofertą poddania się pod warunkiem, że mu zagwarantują życie. Oferta została odrzucona. Czując, że pierścień się zacieśnia, ukrył się na 14 miesięcy ze swym wspólnikiem, Richettim u sióstr Baird i nie opuszczał nigdy domu. Na początku dwaj bandyci grali bez przerwy w karty. Później Richetti wpadł w stan jakby letargiczny i nie ruszał się z fotela całemi godzinami. Co do Floyda, to chodzi on nieustannie po pokoju, co skłoniło nawet lokatora niższego piętra do złożenia skargi właścicielowi domu. Wkońcu sytuacja stała się niedowytrzymania i wszyscy czworo postanowili zwiać. Ucieczka się nie powiodła. Auto w pełnym biegu wpadło na słup telegraficzny w Ohio, Floyd i Richetti, śmiertelnie ranni, wpadli w ręce policji.

Prawo federalne

Zresztą szereg morderców i porywaczy znajduje się na wolności a bandy rackeeterów działają w wielkich miastach. Ale wielcy wodzowie, bezlitośni gangsterzy, ciemiężący kraj już nie istnieją.

Wielkie zadanie zostało spełnione. Trzeba było uprzednio zburzyć granice, które czyniły z 48 Stanów 48 komórek, gdzie policja była zamknięta. Trzeba było następnie urzeczywistnić hasło Edgara Hoovera „Bez polityki!". Prawa federalne omawiające kidnapping, recketeeng, napady na banki, wymuszenia i t. d. oddały w ręce Hoovera wielkie środki. Został stworzony fundusz specjalny na wynagrodzenia dla denuncjatorów i wywiadowców.

F. B. I. (Federal Bureau of Investigation) zjednoczyło 6 miljonów odcisków daktyloskopijnych, które znajdują się w departamencie sprawiedliwości w Washingtonie. Naukowa klasyfikacja umożliwia utożsamienie w ciągu paru minut każdego podejrzanego osobnika. Jest pozatem druga klasyfikacja, oparta na przezwiskach. Stwierdzono mianowicie, że o ile bandyci często zmieniają imiona i nazwiska, to jednak zostają wierni przezwiskom. Z chwilą gdy agenci usłyszą, że zatrzymany bandyta jest nazwany jakiemś przezwiskiem, momentalnie wciągają je do kartoteki, co często pozwala wyśledzić sprawców przestępstwa.

National 71 — 17

G-men (agenci) działają błyskawicznie. Każdy może zatelefonować *National 71 — 17* w Washingtonie i mówić Edgarem Hooverem lub jego zastępcą. Ci są w stałej łączności z 37 naczelnikami obwodów. Donosiciele otrzymują wynagrodzenie, ale nie kasuje im się nic z kar za dokonane przestępstwa.

Pomiędzy G-men'ami znajdują się ludzie różnych zawodów o dziwnych nieraz uzdolnieniach: znajomość narzecz indyjskich, prowadzenie i naprawa sterowców, gra na skrzypcach, gotowanie i t. p.

Laboratorjum badań kryminologicznych

W aresztowaniu bandyty główną rolę odgrywa „Laboratorjum badań kryminologicznych".

Bada się tam koszule, kawałki tkanin, najmniejsze drobiazgi, poczem odnajduje się magazyny, skąd badane objekty pochodzą i w ten sposób dochodzi się do utożsamienia przestępcy. Czy dotyczy to kul rewolwerowych, czy listów, włosów, charakteru pisma, plam i t. p., laboratorjum bada wszystko i wszystko wyjaśnia i odkrywa.

Nakoniec pozostaje do rozwiązania ważki problemat dzieci - przestępców. Ponad 1000 mordów rocznie jest popełniane w Ameryce przez dzieci lub młodzież.

Jak widzimy, prawo stopniowo triumfuje w całym kraju.

w/g Today, Washington.

Z OTWARCIA AMBASADY R. P. W PARYŻU

Powyżej: P. ambasador Chłapowski z małżonką podczas prelekcji po dokonaniu poświęcenia nowego gmachu Ambasady.

Obok: Zaproszeni goście na dziedzińcu.

Wystawa kwiatów w Paryżu.

WŁODZIMIERZ ŁUKASIK

DROBIAZGI WYTWORNE

W Krotoszynie umarł przed paru laty burmistrz. Przyjaciele nieboszczyka, chcąc uczcić zacnego obywatela, postanowili na ścianie jego domu umieścić pamiątkową tablicę. Ponieważ jednak zbiórka odpowiednich funduszów szła dość opornie, przeto aż do czasu zgromadzenia odpowiednich kapitałów, postanowiono zawiesić tablicę prowizoryczną z napisem: Pokój do wynajęcia.

O mały włos byłbym spotkał wczoraj mego brata szofera, którego nie widziałem już od paru miesięcy. Jeździ on mianowicie taksówką numer 215, podczas, kiedy ja zobaczyłem maszynę z numerem 214.

— Ad rem, powiedział tragarz, zabierając się do znoszenia rzeczy z platformy.

O pewnym redaktorze odpowiedzialnym mówiono, że jego honorarjum wynosi trzy miesiące więzienia od szpalty.

Przywódca — człowiek, spędzający czas przy wódce.

Niski poziom naszej kultury materjalnej daje się najwięcej odczuwać w dziedzinie higjeny sanitarnej. Tak np. w braku odpowiednich klinik genjusze muszą się u nas rodzić na kamieniu.

Przysłowie łacińskie: Noli tangere circulos meos — nie tańcz tanga w moim cyrku.

W pewnej górskiej miejscowości w Karpatach Wschodnich jest takie wspaniałe powietrze, że ludzie w krótkim czasie dożywają tam stu lat.

ŚWIAT MUZYKI

„GEJSZA" operetka Jonesa

Wielkie powodzenie operetek podczas sezonu „*operowego*" w Teatrze Wielkim skłoniło p. Korolewicz-Waydową do otworzenia teatru czysto operetkowego. Na pierwszy ogień wystawiono dawno niegraną Gejszę. Wybór ten nasuwa pewne zastrzeżenia. Wielka melodyjność operetki i egzotyczne tło akcji bardzo pociągają publiczność, z drugiej jednak strony Warszawa pamięta Gejszę w wykonaniu Kaweckiej, Łaskiej, Kedo; gdy każdemu ukazaniu się na scenie Morozowicza towarzyszyły wybuchy śmiechu.

Obecnie ci, co szukali pięknej wystawy, ładnych strojów i doskonałego baletu nie zawiedli się. Starsze natomiast pokolenie napróżno w dzisiejszem przedstawieniu czeka na prawdziwy dowcip, na niefrasobliwy humor i życie, jakie wprowadzał Morozowicz, czy też Łaska jako Molly. Przytem niezrozumiałe jest, że i melodyjność ginie; niema ciągłości, poszczególne arje nie łączą się w żadną całość muzyczną. Nie jest to winą Nawrota, który doskonale prowadzi orkiestrę, i solistów, lecz reżyserji, nieumiejącej powiązać akcji z muzyką w jedną całość.

Z wykonawców na pierwszy plan wysuwają się Szczepańska, Halama i Orzechowska. Szczepańska jak zwykle zachwyca pięknym głosem, który dzięki dobrej akustyce zyskał jeszcze na pełności i sile (w charakteryzacji przydałyby się pewne poprawki). Loda Halama w roli Molly wnosi życie, temperament, no i mistrzowski taniec, zwłaszcza w akcie II-gim. Również wiele werwy i zacięcia scenicznego wykazuje Orzechowska jako poliglotka M-lle Zoe. Doskonałe warunki zewnętrzne i inteligencja wróżą tej młodej artystce przyszłość.

O wykonawcach ról męskich wolałabym nie pisać wcale. Dwaj główni bohaterzy nie mogą zapomnieć gestów operowych i śpiewu operowego, dlatego nudzą publiczność lub wywołują ironiczne uśmiechy. Wielkim błędem reżyserji jest powierzenie roli Katany Kaczkowskiemu. Japończyk nie może być olbrzymem, lecz drobnym, zwinnym i ruchliwym. Najlepszy jeszcze jest Szczepański. Dzięki tym wszystkim niedociągnięciom balet wysuwa się na pierwsze miejsce. Trudno wyróżnić którąś z solistek, wszystkie są doskonałe. Powstaje tylko kwestja, kto będzie tańczył w operze, jeżeli tu mamy Nobisównę, Nowicką, Karczmarewicz, Sławską i Michalską?

Dekoracje i kostjumy, jak już wspominałam, bardzo efektowne i miłe.

H.

OSTATNIE PŁYTY

Aktualne tango „Włóczęga" (słowa i muz. Baltarewicza) oznacza się bardzo dobremi słowami. Autor jest lepszym literatem niż muzykiem, gdyż poza miłą melodią kompozycja banalna. Z drugiej strony płyty tango z „Manewrów miłosnych" — „Jak trudno jest zapomnieć".

Orkiestra „Syreny" pod dyr. H. Golda nagrała cały szereg sentymentalnych tang, będących zlepkiem wielu melodyj, jakie brzmiały w tym roku. Najlepsze jest tango chińskie Schera „Linczin-czen". Melodja zupełnie swojska, chińszczyznę ratuje harmonizacja. Słuchając tych beznadziejnych kompozycyj zaczynam się zastanawiać, co począć, aby można było słyszeć naprawdę *nowe* utwory. Może wogóle nasi kompozytorzy wezmą urlopy wypoczynkowe i zaniechają twórczości na jakiś czas, a może to tylko lenistwo, zamiast nowej zmienia się tytuł, parę taktów i szlagier gotowy. Przykładem tego jest tango Schera „Nie chcę wiedzieć" — niestety za dobrze wiem, że słyszę „tango Łyczakowskie", „Bajkę" i wiele innych. A przytem nowy „refrenista" Buffini nie wydaje mi się udanem odkryciem. Ratuje płytę śliczne brzmienie gitary hawajskiej w walcu angielskim „Jeden dzień, jedna noc" (druga strona).

Z popularnej obecnie operetki Jones'a „Gejsza" mamy niezłe potpouri w wykonaniu orkiestry „Syrena-Rekord".

H.

CZŁOWIEK I ZWIERZĘ



Małe szympansiątka darzą swą opiekunkę miss D. Brown ogromnem przywiązaniem.

CZY ZDJĘCIE SIĘ UDA?



Sfotografowanie żyrafy jest rzeczą trudną. Fotoreporter zaskoczony niespodziewanem zainteresowaniem się żyrafy z paryskiego Zoo jego aparatem fotograficznym.

ARTUR STANGHELLINI

D O M

Nie mam tutaj na myśli owych domów i dworków podmiejskich, które wyobrażamy sobie na tle prostokąta zieleni, jak bloczki kalendarza; delikatne w odcieniu, bielutkie jak kreda, kruche jak wafelki, ledwie ledwie wystarczające na jedno lub dwa gniazdka; lecz myślę o domach miejskich, które wyrosły jeden obok drugiego, aby się wzajemnie podpierać, aby sobie towarzyszyć w smutnych chwilach, lub aby poprostu popatrzeć na siebie; o domach, które przez ciągłe otwieranie przeciwległych okien nabrały owego wyrazu zezującego, wystraszonego i zgubionego, jaki ma człowiek patrzący na nas zbyt zbliska. Stoją domy miejskie, pomarszczone i pofałdowane, pełne kominków i tarasów, balkonów i klitek, domy, gdzie oddech wielu pokoleń jakgdyby osiadł w starych pokojach; domy, z których każdy zrósł się z historją jakiejś rodziny; jedne bardziej wysunięte na przód, inne cofnięte w tył, te wyższe, tamte znów niższe; bogatsze, lub biedniejsze, zwrócone frontem lub bokiem. Gdy w ciągu wieków ludzie pobudowali już dwa szeregi takich domów, spostrzegli nagle, że pomiędzy niemi powstała ulica; zostawili ją więc krętą lub krzywą, a najwyżej gdzieś na zbyt ostrym zakręcie postawili kapliczkę.

Myślę o domach miejskich, których każda ściana kryje w sobie jakąś tajemnicę, i gdzie pokolenia goniły się z kielnią, kilofem i młotem w dłoni, gdyby nie to, że na szczęście rodziły się w różnych epokach; wszyscy psują, niemal ze złością, a w każdym razie z pogardą to, co poprzednicy zbudowali i w czem się lubowali. Ten oto zatkał kominek, tamten wybił drzwi na miejscu dawnego okna, ten zrobił przepierzenie, a tamten dobudował balkon, ów zawisnął tarasem ponad podwórzem, a inny wreszcie wystrzelił wieżą ku niebu; wszyscy strasznie dumni, że odkryli tajemnicę, że udało im się lepiej przystosować do swoich wymagań stary budynek, któregoby teraz już nawet budowniczy nie poznał. Lecz gdy już ktoś naprawdę urządził sobie dom wedle swego gustu, tak, że mimo chęci, nie znajdzie już nic do przerobienia, gdy się w nim już tak dobrze czuje, że nawet powietrze wydaje mu się własne, wtedy przychodzi śmierć, albo paraliż na całe lata przykuwa go do fotelu. Syn z początku płacze, potem jednak wzywa murarza i zaczyna w ten sposób: Ojciec, jak panu wiadomo, miał, jeśli chodzi o domy, pewne osobliwe upodobania...

Co do mnie, poczułem się dobrze w moim domu zaraz po urodzeniu. Wszystko mi się wydawało piękne, a przedewszystkiem pokoje, do których wchodziło się tylko w specjalnych okolicznościach. Kobiety wypędzały mnie stamtąd, zamykając pośpiesznie drzwi na klucz, bo nie było to miejsce dla dzieci, lecz oczy moje długo jeszcze potem pozostawały olśnione złotemi ramami, inkrustowanemi stołami, fotelami, błyskiem świeczników, a w duszy budziło się spragnione i łakome pożądanie tego bogactwa, które się tylko na chwilę ukazało i zaraz skryło w cieniu portjer. W nozdrzach trwał zapach zwiędłych kwiatów, niepokalanie czystych tkanin, proszku na mole i naftaliny — trudny do określenia zapach zamkniętego pokoju, gdzie przedmioty zdają się oddychać w ciszy, gdzie panie zostawiają zapach swych futer i gdzie uśmiechy, głosy i obrazy osób umarłych, zaginionych i dalekich pozostają zaklęte na podobieństwo duchów.

— A moja mamusia miała salonik cały czerwony i złoty — mawiałem do moich towarzyszy z fałszywie skromną miną. — A drugi żółciótki, a trzeci fioletowy, a jeszcze inny turkusowy — przedrzeźniano mnie.

Lecz, jeśli udało mi się znaleźć chętnego i potulnego słuchacza, zaczynałem znęcać się nad biedakiem, i nie było już na świecie pałacu, któryby mógł równać się z moim.

I rzeczywiście czułem się bogaty, uprzywilejowany i szczęśliwy, jak wszyscy synowie rodzin, które ograniczają się do przechowywania mebli i odziedziczonych obrazów, tkanin i drogocennych sprzętów, lecz dziś już nie miałyby dość pieniędzy, aby je kupić.

Wszystko dobrze, póki się trzymają, lecz gdy się raz załamią, zaczynają się wędrówki do antykwarjatu i lombardu. Gdy czasy się zmieniły, a wraz z niemi i fortuna kołem się potoczyła, wiele rzeczy wyszło poza bramę naszego domu i już nie wróciło. I właśnie te rzeczy były, a może mi się tylko wydawało, najpiękniejsze. Czułem się wówczas bardzo nieszczęśliwy, i czy kto pytał, czy nie, wszystkim objaśniałem, że tam dawniej wisiał obraz, tu stał piękny sprzęt, że ten salonik już teraz niewiele jest wart, ale trzeba go było widzieć wtedy, tak jak ja go widziałem i jak go zawsze będę widział.

Zawsze.

Zdawaćby się mogło, że wszystko, co mija i co się zmienia, trzeba sobie władować na plecy i wlec ten ciężar ze sobą przez całe życie. Rany serca wydają się głębokie i palące, lecz w gruncie rzeczy są tylko upokorzeniem w porównaniu z prawdziwym bólem; bólem, który przygina do ziemi, a po którym może przyjść inny, jeszcze większy, bo taka już dola człowieka, że kroczy przez życie kolejno smagany i opatrywany, pociągany i odpychany.

Pewnego dnia, gdy zobaczyłem, jak zabierano piękne stare łoże, byłbym się chyba rozpłakał, gdyby nie pocieszyła mię trochę pewność, że pozostanie czerwony baldachim. Będzie osłaniał inne łóżko, skromniejsze, przez jeden z owych żałosnych kompromisów, jakie robią pewne rodziny, zstępujące z całą swobodą wdół, stopień po stopniu, ale wstydzące się jednym skokiem przebyć całą drogę. Widziałem, jak pod tym czerwonym baldachimem umierała moja matka, i jeszcze dziś mi się wydaje, że jej ostatni oddech pozostał tam na górze, zamknię-

ty w małej złoconej ramce, która ujmuje jedwabne sklepienie na szczycie.

Stężałe i ciężkie powietrze tych starych murów przesiąkło zgasłemi głosami, westchnieniami, słodkiemi i gorzkiemi akcentami, łkaniami i jękami, słowami, których cofnąć nie można. Stare lodowate mury, w których przygotowywały się związki krwi decydujące o przyszłych pokoleniach, rozbrzmiewają jeszcze echem bolesnych dysput i starć: oto ojcowie, którzyby chcieli synom narzucić wychowanie, jakie sami otrzymali, synowie, którzy powstają przeciwko nim, i matki, które interwenjują, blade, niespokojne, rozdwojone w swych uczuciach; te mury, — to uraza i miłość, gniazdo i więzienie, schronienie i potępienie; młodość w nich się buntuje i z każdego okna widzi niezmierzone horyzonty, a starość przetrawia smutne i rozsądne rozczarowanie życiowe.

Pokolenia powtarzają się jedne w drugich na tyle, aby się łańcuch nie rozerwał, niedosyć jednak, aby wszyscy nie wynosili pod niebiosa wychowania ojców i religijności matek, i aby nie snuli pochwał czasów minionych, mieszając często prawdziwe piękno przeszłości z żalem za utraconą młodością. Bywają ludzie, którzy widzą Boga wszędzie i nawet z sufitu niebo sobie robią, którym dość podnieść na sufit oczy, aby ujrzeć gwiazdy; inni czują tylko ciężar i przymus; jeden wraca codzień radosny do domu, ciążąc doń jak zwierzę, które spieszy do żłobu i koryta, drugi widzi poezję w stole rodzinnym i we wszystkich najmniejszych nawet obyczajach domowych, a bywa i taki, który właśnie pośród swoich bliskich czuje się samotny.

A jednak, a jednak... Nic się nie kocha więcej od domu, i należałoby tu może pomyśleć o jakiemś zwierzęcem przywiązaniu, bo dla wielu ludzi dom jest kalendarzem dni, jeśli nie szczęśliwych, to w każdym razie pogodnych, z którego się nigdy kartek nie zdziera.

Nawet najbardziej smagani przez los ci, dla których z każdym pokojem jest związane jakieś smutne wspomnienie, nie mogliby się od domu oderwać, nie czując, że jednocześnie rozdziera się w nich coś żywego. Być może, w tajemniczy sposób przenika nas poczucie świętości prawa, czyniącego dom osią, naokoło której rozwija się w dziejach rodziny ciągłość pokoleń, zmieniających się wprawdzie, lecz czerpiących siłę z każdego zgonu i z każdych urodzin. Poczucie wieczności w ramach życia jednostki czyni ostrzejszy bodziec odpowiedzialności, zarówno wobec tego, co się odziedziczyło po przodkach, jak tego, co się przygotowuje dla dzieci. I to właśnie uczucie sprawia, że ściany domu stają się rozleglejsze od najszerszych horyzontów.

Z domu się wyrusza i do domu zawszeby się chciało powrócić. Aby sobie uzmysłowić całe życie, trzeba odnaleźć w pokojach domu kroki, głosy, modlitwy, łzy i westchnienia, które czas nagromadził, a których nic rozproszyć nie może. W pewnych chwilach wszystko się poznaje, wszystko się czuje i jeszcze raz przeżywa. Może to się stać siłą, co porywa, jakgdyby człowiek odzyskał w jednej chwili całą krew, którą przez życie utracił, lecz może się także zmienić w niebezpieczną słabość.

Kiedy w lipcu 1916 r. otrzymałem wezwanie, aby się udać na front wraz z innymi oficerami batalionu, wystarałem się o kilka godzin urlopu dla zobaczenia moich bliskich. Zamierzałem pozdrowić ich tylko w myśli i pożegnać tylko w duchu, gdyż nie wiedziałem, czy serce mi nie pęknie, gdy wyznam ojcu całą prawdę.

Przypadkowo spotkałem go na ulicy, i poszliśmy do kawiarni, gdzie wymyśliłem jakąś wymówkę, aby usprawiedliwić niespodziewaną wizytę. Mówiłem z nonszalancją, starając się nie patrzeć na siwe włosy ojca, bo dokuczała mi myśl o tem, że nic nie wie i że zostanie samotny. W pewnej chwili wspomniałem, że i mój rocznik może być posłany na front, gdyż ofensywa austrjacka w Trencie spowodowała gwałtowne zapotrzebowanie oficerów. Ojciec podniósł oczy ze zdziwieniem.

— Jeśli to mówisz, aby zadzierać nosa, to nic ci nie odpowiem, chociaż nie uważam, aby to była odpowiednia pora do żartów, lecz jeśli już naprawdę idzie o twój rocznik, możesz spać spokojnie. Nim go powołają, wojna się dawno skończy.

Sapiąc, podniósł się z krzesła, zapłacił i wzruszywszy ramionami, zabierał się już do odejścia. Znając go dobrze i wiedząc, że nieraz gniewem pokrywa wzruszenie, dogoniłem go i poprosiłem, aby poszedł ze mną do domu, skąd, jak mu powiedziałem, miałem zabrać jakiś przedmiot. Nie chciał mi dać kluczy, a wolałbym sam spojrzeć na moje pokoje i uciec, może biegnąc, a może nawet płacząc, bo już czu-

łem, że szloch chwyta mnie za gardło.

Ojciec poszedł przodem. Otworzył drzwi. Minąwszy podwórze, zaczął wchodzić na schody, prowadzące do ciemnego korytarza. Na podwórzu gdzieniegdzie tylko przeświecało słabe światło wśród wielkich płacht ciemności. Przypadkiem podniosłem wzrok ku górze i zobaczyłem, jakby z dna przepaści, gdzieś bardzo wysoko niebo, a na niem dwie czy trzy białe, mroźne gwiazdy. W tej chwili z głębin pamięci wystrzeliło jak błyskawica wspomnienie innego spojrzenia w pewien smutny i odległy wieczór; spojrzenia, które, wróciwszy ku ziemi, odkryło na podłodze plamy z wosku i gęste ślady kroków, podczas gdy nozdrza wciągały mocny zapach dymiących pochodni.

Z otwartych okien słychać było teraz krzyki dziecięce — to moje głosy ze wszystkich okresów życia; jaskółki śmigały wgórze w małym kwadraciku nieba: to jaskółki z moich wszystkich wiosen; zapachy przekwitłych kwiatów, śpiewy, modlitwy, dźwięki i znane dobrze hałasy domu, który się codzień budzi do życia, który je całe streszcza w sobie, bo nic w historji domu nie umiera z tego, co żyje w naszych duszach.

Nie mogłem się poruszyć i czułem skurcz dławionego płaczu w gardle. Wiem, że gdybym zrobił jeszcze jeden krok, jeszcze tylko jeden krok, rozpłakałbym się jak dziecko. Musiałem wyglądać jak przykuty do ziemi, bo ojciec spytał z niemal gniewną niecierpliwością:

— Idziesz, czy nie?

Otrząsnąłem się z odrętwienia i znalazłem jeszcze dość przytomności umysłu, aby wybełkotać jakąś wymówkę, uwalniającą mnie od konieczności wejścia do środka.

– Jakto? — zawołał ojciec coraz bardziej zdumiony i zirytowany. — Chciałeś coś tam zabrać z domu, a teraz nic ci już nie trzeba? Każesz mi wracać do domu, a sam się teraz nie ruszasz? Co się z tobą dzisiaj dzieje? Czy tak samo dowodzisz twoimi żołnierzami? Naprzód, wtył; naprzód, wtył! Całe szczęście, że tam cię nie potrzebują. Inaczej mieliby się zpyszna!

Odwrócił się ode mnie, sapiąc. Widziałem, jak odchodził, i nawet nie mogłem go uścisnąć; jego biała głowa w chwili, gdy klin cienia odciął ją i zgasił, błysnęła, jakgdyby zapadła czarna, nieprzenikliwa kurtyna, oddzielając na zawsze jego życie od

mojego.

Gdy następnej nocy przejeżdżałem pociągiem koło mego miasta, kilka zaledwie świateł czuwało nad jego ciężkim snem. Samotne światełko wpobliżu katedry było mi domem, tak jak to bywa w historyjkach o zagubionych dzieciach; spał tam mój ojciec, który jeszcze nic nie wiedział. Sapała lokomotywa, wspinając się wgórę na Apeniny, a stukanie kół wtórowało jak śpiew memu płaczowi bez łez.

Z oczami wpatrzonemi w przeszłość pozwalałem tajemniczej a potężnej sile, która usiłowała stargać wszystkie więzy, łączące mnie z życiem, unosić mię na szczyt moich gór, skąd miałem runąć wdół, wolny i samotny — na spotkanie losu.

(Tłumaczyła Marja Poznańska Oderfeld).

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 – 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 – 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

ŚWIAT FILMU

Ukochana maskotka

W roku ubiegłym Shirley Temple po nakręceniu 3-ch filmów wyjechała z matką i braćmi na Wyspy Hawajskie, celem spędzenia tam wakacji.

Kiedy syrena okrętowa zahuczała już po raz trzeci, oczom zgromadzonych ukazała się mała, skromnie ubrana dziewczynka w wieku około lat 10-ciu. Biegła zadyszana, w ręku trzyma małe zawiniątko opakowane w gazetę.

Zawierało ono upominek dla Shirley. Po rozwinięciu papieru oczom zaciekawionej Shirley ukazała się mała kukiełka, przedstawiająca małego marynarza nieudolnie zrobionego z gałganków, prawdopodobnie uszytego przez małą ofiarodawczynię, lub kogoś z jej domowników. Marynarz miał zabawną, uśmiechniętą buzię, a ręce i nóżki ułożone były w pozie, jak gdyby wykonywał taniec marynarski. Wraz z innemi zabawkami złożono marynarza na rufie okrętu, gdzie podczas podróży morskiej Shirley najchętniej przebywała, uczyniwszy tam sobie miejsce wypoczynku i zabawy.

Następnego dnia popołudniu burza rozpętała się na dobre. O wyjściu na pokład i zabraniu zabawek nie było mowy.

Shirley, zaniepokojona o los zabawek, całą noc prawie nie zmrużyła oka, cichutko leżąc w swojem łóżeczku, bojąc się zbudzić śpiącą obok mamusię. Śnił się jej mały marynarzyk, biedny, sklecony ze szmatek, wyciągający ku niej rączki, jakgdyby błagając o pomoc.

Następnego dnia burza minęła i w południe Shirley wyfrunęła na pokład. Niestety z zabawek nie zostało ani śladu. Na zalanym wodą pokładzie leżał mały marynarz w swej śmiesznej pozie, patrząc na Shirley swemi czarnemi, nieruchomemi oczkami.

Srihley przez cały czas wakacyj nie rozstawała się ze swą najukochańszą zabawką, uważając ją za swą maskotkę, chroniącą ją od wszelkiego zła.

Po powrocie do Hollywood Shirley uprosiła producenta Darryla Zanucka, ażeby nakręcił z nią jakiś morski film.

W ten sposób powstał najpiękniejszy film uroczej gwiazdki, pierwszy morski film Shirley Temple p. t. „Capitain January“ („Najmłodszy marynarz“).

„Zapomniane twarze“ film Herberta Marshalla

Znakomity aktor, jakim jest Herbert Marshall, przystąpił do nakręcania nowego filmu p. t. „Zapomniane twarze“. Jest to dźwiękowa wersja słynnego niegdyś obrazu pod tym samym tytułem z Clive Brookiem i Olgą Baklanową. Partnerką Marshalla będzie utalentowana aktorka, Gertruda Michael, bohaterka filmu „Ostatni posterunek“. Film reżyserował E. A. Dupont.

„Nocne motyle" — Bałtyk

Ach te rewje! Na trzech czołowych ekranach stolicy króluje rozfikana, roztańczona i rozśpiewana muza ze znakiem „made in Warner Bros". Trzech reżyserów, trzy kombinowane zespoły. Znać już sezon ogórkowy.

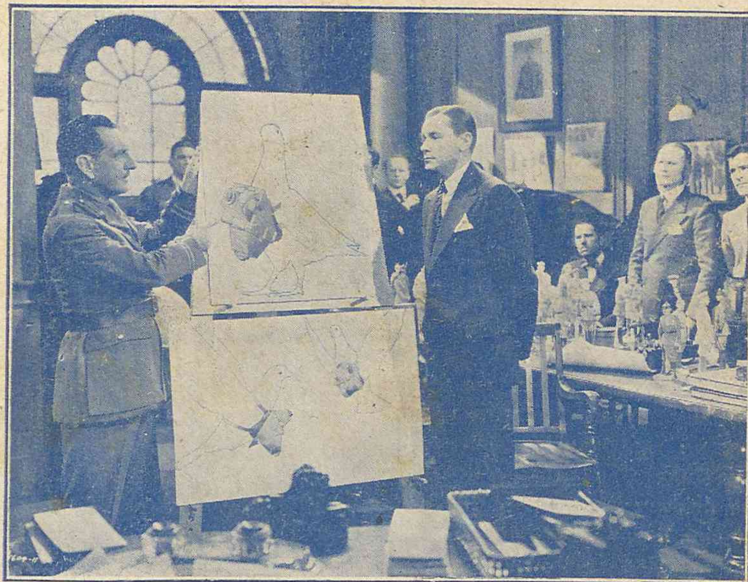
Filmy rewjowe nastręczają recenzentowi zasadniczą trudność — musi o nich pisać natychmiast, na gorąco, bo potem wrażenia się zatrą, w pamięci pozostaje chaos rozfikanych girls'ów, dziwny fotomontaż wszystkich dotychczas oglądanych rewij, strzępy melodyj różnych jazz'ów i różnych autorów.

„Nocne motyle" są filmem bezsprzecznie dobrym. Można mu zarzucić nierówność i brak zrównoważenia. Część pierwsza — przygotowanie do rewji — jest bezwzględnie słaba. Takich przygotowań widzieliśmy już dziesiątki. Świetne tempo, dużo ruchu, dynamika epizodów i szereg zabawnych sytuacyj stara się rozweselić publiczność, zająć ją czemś przez dobre pół godziny. Czy spełnia to swe zadanie — nie wiem, ale mam wrażenie, że trzaskanie drzwiami, chaotyczne bieganie za kulisami, szalone sprinty po schodach, urozmaicane wymyślaniami, wyrzucaniem się wzajemnem za drzwi z kopaniem w niekoniecznie cenzuralne miejsca, to trochę zamało, aby się podobać.

Druga natomiast część — właściwa rewja robi olśniewające wrażenie. Realizator „Wonder Baru" Lloyd Bacon okazał się raz jeszcze mistrzem efektów rewjowych. Wprowadzenie nowego elementu dekoracyjnego—wody w postaci basenów fontann, jeziorek; znakomite zgranie zespołu, świetne zdjęcia i nadewszystko efekty malarskie — pierwsza klasa.

Całość opiera się na trzech świetnych melodjach Warrena i Dubina, znanych częściowo jak „Honeymoon Hotel" i „Shanghay Lil" z płyt gramofonowych.

Z wykonawców Joan Blondell wniosła dużą dozę sentymentu i niepokojącego czaru, Dick Powell dynamikę i życie, no i urocza Ruby Keeler mimo zespołowego charakteru rewji znalazła okazję do przykucia uwagi widza, zdobywając całkowity aplauz i sympatję. J.



Scena z potężnego filmu szpiegowskiego p. t. „M-24". W rolach głównych grają: Herbert Marshall, Rod la Rocque, Gertruda Michael i Lionel Atvill. (Fot. Paramount).

Szczepcio i Tończio w polskim filmie

Prawdziwą rewelacją dla radjosłuchaczy będzie fakt zaangażowania Szczepcia, Tończia i Pana Strończia — filarów „Wesołej Lwowskiej Fali", do nakręcenia filmu.

Warszawska wytwórnia filmowa „Feniks" zaangażowała po długotrwałych staraniach, popularnych lwowskich komików radjowych: Szczepcia, Tończia i Pana Strończia. Ulubieńcy radjosłuchaczy ukażą się w komedji p-g scenarjusza E. Schlechtera.

W pałacach i na poddaszach, w Warszawie i we Lwowie, w salonach arystokracji i w środowisku „lwowskich batiarów" rozgrywa się akcja nowego filmu wytwórni „Feniks", w którym główne role grać będą Szczepcio, Tończio i Pan Strończ ze „Lwowskiej Wesołej Fali".

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. „Polska Zjednoczona", Warszawa

JASKÓŁKA JESIENI



Efektowna kurtka krecia - model znanej firmy futrzanej S. Adynowska (sklep Nowy Świat 22).

„Casino do Paris" — Casino.

Kiedy lat temu blisko dziesięć cała Warszawa entuzjazmowała się filmem Al Jolsona — wypływało to głównie z sensacyjności i atrakcyjności nowego wynalazku filmu dźwiękowego.

Dziś film dźwiękowy ma już poza sobą okres prób i eksperymentów. Technika poszła naprzód. Niedawno entuzjazmowaliśmy się filmem barwnym, filmem w kolorach naturalnych — jutro zapowiadają film plastyczny, trójwymiarowy.

Al Jolson w nowym swym filmie zawiódł całkowicie. Pionier — że się tak nieściśle wyrażę — filmu dźwiękowego pozostał tem, czem był przed dziewięciu czy ośmiu laty. Lekkie piosenki, spopularyzowane przez innych gwiazdorów filmów rewjowych, w jego wykonaniu drażnią i nużą. Scenarjusz poniżej średniego poziomu zbanalizowanych i oklepanych rewij filmowych nie ułatwia mu zadania podobania się publiczności. Wystawa mało efektowna — powiem nawet — prymitywna. Absolutnie nic nowego: motywy muzyczne znane, interpretacja piosenek zbyt patetyczna, tańce nieestetyczne, banalne i nieharmonijne. Jedyną jaśniejszą plamą jest milutka gwiazdka Warner Bros'u, Ruby Keeler. Wdzięk, uroda i miły głos tej czarującej tancereczki wynagradzają nam częściowo zawód i ujemne wrażenie, jakie sprawia całość filmu.

Nikt się nie wysilał. Ani scenarzysta, ani reżyser, ani tłumy girls'ów i boy'ów, nawet świetna orkiestra Vitaphone'u wypadła dziwnie blado. *J.*

„Armja Ewy" — Atlantic.

Recepta na filmy rewjowe jest mimo wszelkich wysiłków wytwórni i reżyserów jedna i ta sama: pokazuje się mniej lub więcej rozfikanych girlasek w możliwie najefektowniejszych strojach i pozach. To jest efekt kulminacyjny. Do końcowych olśniewających scen reżyserzy dziwnie zgodnie dochodzą według utartego szablonu. A więc genjalny impresarjo, zwykle goły jak święty turecki, i kandydatka na gwiazdę poszukują kandydata na... finansistę. Ten ostatni ma zwykle dużo dobrych chęci, poczciwy i naiwny wyraz twarzy i daje się naciągać — bo przecież inaczej nie dobrnęlibyśmy do szczęśliwego końca.

„Armja Ewy" niewiele odbiega od naszkicowanego szablonu. Staranność i sumienność reżysera i scenarzysty pozwoliły jednak na uniknięcie względnie ominięcie banału.

Wprowadzenie pomysłowej i sympatycznej trójki niebieskich ptaków — niekoniecznie nowe i oryginalne — stworzyło szereg kapitalnych sytuacyj komedjowych.

William Powell, Bette Davis i Mc Hugh stworzyli znakomite pełne życia i humoru sylwetki. Sprytne oszustwa, kradzieże, szantaże przewijają się dziwnie lekkomyślnie przez barwne życie tych lekkoduchów. Pomysłowość i bezczelność wodza hultajskiej trójki umożliwia im dojście do fortuny mimo licznych trudności i „dziwnych" wymagań stawianych przez prawo. Wesoła trójka przyciśnięta do muru w New Yorku wylatuje sobie na gościnne występy do Paryża, gdzie potykając się o kodeks karny lansuje nową modę strusich piór i antycznych toalet.

Dobrze podpatrzone metody pracy wielkich domów mód stanowią niewątpliwie dużą atrakcję filmu, przeznaczoną głównie dla pań. Panowie a z niemi cała widownia wita śmiechem dziwne perypetje sympatycznych naciągaczy. Dobra muzyka i piękna wystawa rewji, świetnie skomponowany taniec z piórami, dużo humoru i życia. J.



Wśród ostatnich premjer filmowych niewątpliwie zwycięski laur przyznać trzeba świetnej komedji salonowej reż. W. Dieterle p. t. „Armja Ewy", którą prezentuje czołowy kinoteatr stolicy Atlantic

Przemysł jedwabniczy na filmie.

Dnia 11 b. m. w kinie Stylowy odbył się ciekawy pokaz krótkometrażowego filmu, ilustrującego historję i pracę Tomaszowskiej Fabryki Sztucznego Jedwabiu, która właśnie obchodziła dwudziestopięciolecie swego istnienia.

Obraz składał się z dwóch części: pierwsza dotyczyła stanu fabryki z przed lat 10 i filmowana była w tym samym czasie, druga — robiona obecnie, przedstawiała stan dzisiejszy.

Niejedno udarzało widza przy takiem zestawieniu. Przedewszystkiem podziw wzbudzał olbrzymi rozwój fabryki, która rozrosła się w ciągu ostatniego dziesięciolecia w jeden z najpotężniejszych zakładów przemysłowych w kraju. Jest to triumf zarówno rozwijającej się w szalonem tempie techniki chemicznej, na której opiera się produkcja sztucznego jedwabiu, jak i wielkich zdolności organizatorskich twórcy fabryki — p. Feliksa Wiślickiego.

Prócz tego zwracała uwagę strona społeczna filmu. Po obrazach, przedstawiających sale fabryczne, wspaniałe maszyny i robotników przy pracy, mieliśmy sposobność oglądać drużyny sportowe robotników i robotnic, oraz ich wyczyny, jak biegi, wyścigi, marsze i t. p. Postawa drużyn tych, złożonych z młodzieży spędzającej większą część życia przy maszynie, mogła rozradować serce najzagorzalszego komunisty. Widocznem też było, jak nowe i jak dodatnie jest zjawisko, o które tu chodzi. Zbawienny wpływ sportu uwydatniał się jaskrawo przy narzucającem się porównaniu między „formą" robotników z pierwszej i drugiej części filmu. Świetnie prezentujące się oddziały maszerujących robotnic dostały huczne brawo.

Trzecim interesującym momentem był przypadkowy efekt, wynikający z zestawienia starej i nowej techniki filmowej. Zdjęcia z przed 10 laty były ciemne, naiwne i nieme, pełne niezręczności reżyserskich. Działały one chwilami komicznie na widza, przywykłego do doskonałości dzisiejszego kina.

Tembardziej zyskała na tem część druga, robiona aparatem dźwiękowym, operującym zdjęciami jasnemi i pełnemi życia, a wyreżyserowanemi artystycznie.

Pouczający ten film powinien być udostępniony szerszej publiczności.



REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „SWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. „Polska Zjednoczona", Warszawa